



**Bądź
EKO
z apką
KOM-EKO**



POBIERZ
w
Google Play



POBIERZ w
App Store



**POBIERZ
BEZPŁATNIE**

**UŁATWIA
GOSPODARKE
ODPADAMI**

www.ekoapp.com.pl

Szanowni Czytelnicy!

W tym roku jesień zjawiała się niespodzianie i niepostrzeżenie. Gdyby nie chłodne poranki i widok dzieci zdążających do szkoły można by myśleć, że wciąż rozpieszczana lato. Niemniej jeszcze chwila i przełamując nieśmiałość pocznie jesień na drzewach późną zieleń żółcią odmieniać, aż wreszcie rzuci nam złoto pod stopy. Daruje nam też dłuższe wieczory, w sam raz na lekturę nowych ekogadkowych opowieści.

Jeśli o złocie mowa świętować będziemy kolejny medal z tego najcenniejszego z kruszców lubelskich żuźłowców, ale odkryjemy też nieznaną historię „złotego śmieciarza”. Podczas spaceru z zaprzyjaźnionym archeologiem poznamy równie nieznaną dzieje lubelskiego barbakanu. O swojej pracy i pasji opowie ceniony dziennikarz sportowy Tomasz Jasina. Zachętą do refleksji na kondycję otaczającego nas świata niech będzie wywiad z niezwykle włoskim artystą Dario Tironim, któremu nie jest obca troska o środowisko. Oprócz tego w numerze jak zawsze dużo informacji z obszaru ekologii i życia Grupy KOM-EKO.

Miłej lektury!

Zarząd Kom-Eko S.A.

**DARIO
TIRONI**
str. 38



POLECAMY:

| | |
|-------------|----|
| NASZE PASJE | 28 |
| BARBAKAN | 54 |
| FELIETON | 60 |
| WYWIAD | 64 |



Kalendarium Kom-Eko

Minione tygodnie to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej, choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

**czerwiec
- sierpień 2023**

Pracownicy Zakładu Oczyszczania zabezpieczają utrzymanie czystości na imprezach plenerowych „Noc kultury”, „Carnaval Sztukmistrzów 2023”, „Wschód Kultury – Inne Brzmienia 2023” oraz „Festiwal Re:tradycja”.

czerwiec 2023

Zakup sprzętu na potrzeby Zakładu Robót Drogowych: skraparki do asfaltu ROLLEX SKR-200, termosu do asfaltu ROLLEX 9000 i urządzenia wielofunkcyjnego KNIKMOPS KM250 z oprzyrządowaniem.

lipiec 2023

KOM-EKO po raz kolejny wsparło organizację turnieju golfowego „Ani Mru Mru Open” na polu golfowym w Wierchowiskach pod Lublinem.

lipiec 2023

Grupa KOM-EKO wsparła Speedway Motor Lublin w produkcji filmu promującego idee zrównoważonego rozwoju i prawidłową segregację odpadów. Materiał zrealizowano przy udziale Mateusza Cierniaka dwukrotnego mistrza świata juniorów na żużlu w obiektach KOM-EKO i EKOPAK.

**lipiec
– wrzesień 2023**

KOM-EKO sponsorem drugiej edycji cyklu turniejów w siatkówce plażowej - Bogdanka Beach Volley Cup im. Tomasza Wójtowicza.

sierpień 2023

Park maszynowy Zakładu Oczyszczania powiększa się o samojezdną zamiatarkę RASCO LYNX.

**3-15 sierpnia
2023**

KOM-EKO wsparło organizację 45. Lubelskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę w zakresie utrzymania czystości na trasie i w miejscach postojów pielgrzymów.

4 sierpnia 2023

Firma KOM-EKO gościła u siebie grupę dzieci z Ukrainy. Organizatorem wizyty była fundacja „Niezniszczalna Ukraina”.

**24 września
2023**

Sponsorowana przez KOM-EKO drużyna żużlowców Motoru Lublin po raz drugi w historii sięgnęła po tytuł Drużynowego Mistrza Polski w rozgrywkach PGE Ekstraligi.



FOTO: Speedway Lublin.

Segreguj z KOM-EKO i mistrzem świata

Po raz kolejny Grupa KOM-EKO zjednoczyła siły ze Speedway Motorem Lublin w promocji postaw przyjaznych środowisku. Zapraszamy do obejrzenia filmu promującego idee zrównoważonego rozwoju i prawidłową segregację odpadów. Film dostępny jest w mediach społecznościowych KOM-EKO, Speedway Motor Lublin i PGE Ekstraligi.

Nasze wspólne działania to część szerszego projektu realizowanego przez PGE Ekstraligę, najlepszą żużlową ligę świata pod hasłem „Czarny sport ma zieloną stronę”.

Cieszymy się, że mogliśmy pomóc w realizacji filmu i po raz kolejny gościć w naszej firmie Mateusza Cierniaka indywidualnego mistrza świata juniorów (SGP2) 2022 i 2023. Projekt zrealizowano w obiektach spółek KOM-EKO i EKOPAK.





Mali goście z Ukrainy

Miło nam było gościć w KOM-EKO grupy przebywających w Polsce dzieci z Ukrainy. Zwiedzający mieli okazję zapoznać się z pracą sortowni odpadów firmy Ekopak, zasadami segregacji odpadów oraz tajnikami ich recyklingu. Organizatorem wizyty była fundacja „Niezniszczalna Ukraina”.

„Niezniszczalna Ukraina” to fundacja, której celem jest tworzenie w Polsce ukraińskich szkół dla dzieci, które zostały zmuszone do przeniesienia się do naszego kraju z powodu militarnej agresji Rosji. Projekt realizowany jest przy wsparciu Międzynarodowej Fundacji Charytatywnej „Lichtariki” (Ukraina), Funduszu Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci – UNICEF oraz międzynarodowej organizacji Save the Children.

FOTO: Redakcja.



Na pielgrzymim szlaku

Cieszymy się, iż po raz kolejny spółka KOM-EKO mogła wspomóc organizatorów Lubelskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę. Nasi pracownicy dbali o utrzymanie czystości i porządku na liczącej sobie przeszło 320 km trasie i w miejscach postoju pielgrzymów. Towarzyszyliśmy pielgrzymom każdego dnia ich wędrówki od 3 sierpnia, kiedy po raz 45. wyruszyli z lubelskiej archikatedry, po 14 sierpnia kiedy dotarli na Wały Jasnogórskie niosąc swoje intencje, nadzieje, radości i troski. W tym roku w drodze na Jasną Górę przyświecało im hasło „Drogowskazy Nowego Człowieka” zaś partnerem pielgrzymki był Ruch Światło-Życie, przeżywający swój jubileusz 50 lat istnienia w Lublinie.



Ani Mru Mru Open 2023

Ponownie firma KOM-EKO wsparła organizację turnieju golfowego „Ani Mru Mru Open” na polu golfowym w Wierzchowiskach pod Lublinem. Podobnie jak w ubiegłym roku miłośnicy tego szlachetnego sportu zaproszeni do rywalizacji przez uznanych artystów kabaretowych obok wrażeń sportowych obcowali za naszą sprawą z edukacją ekologiczną. Tą poważną i tą w formie zabawy. Nie zabrakło naszego konkursu, w którym uczestnicy musieli wykazać się kunsztem golfisty i wiedzą z zakresu segregacji odpadów.

Grupa KOM-EKO sponsorowała również prestiżową konkurencję „HOLE IN ONE” deklarując posadzenie w imieniu zwycięzcy 1000 drzew. Niestety tym razem nie znalazł się ani jeden gracz, który potrafiłby jednym celnym uderzeniem umieścić piłkę w dołku. Może za rok?





Rodzinny Piknik Ekologiczny w Kowalinie

Wspólnie z kołem gospodyń wiejskich w Kowalinie firma Ekoland zorganizowała Piknik, którego celem było propagowanie zdrowego trybu życia oraz edukacja ekologiczna. Podczas imprezy przybliżono mieszkańcom problem z prawidłową segregacją oraz dużą ilością odpadów jaka jest produkowana na terenie Gminy Kraśnik. Gry i zabawy przygotowane przez firmę Ekoland pokazały rodzicom, że można aktywnie i wesoło spędzać czas na świeżym powietrzu ze swoimi pociechami. Tor przeszkód przygotowany z odpadów okazał się strzałem w przysłowiową dziesiątkę i przyniósł wiele radości nie tylko uczestnikom, ale także obserwatorom.



FOTO: Za zgodą EKOLAND.



EKOLAND i EKOENERGIA na Young Fest Kraśnik

Young Fest Kraśnik to tradycyjna impreza, która odbywa się co roku na podsumowanie wakacji. Wydarzenie organizowane przez Młodzieżową Radę Miasta Kraśnik wsparły spółki Ekoland i Ekoenergia. Występom muzycznych ulubieńców (PlanBe i Basty) tradycyjnie towarzyszyło wydarzenie „Plener Skate Jam Kraśnik”, które zgromadziło licznych sympatyków skateboardingu z Lubelszczyzny i sąsiednich województw. Ze wzg. na popularność imprezy, by gościć wszystkich uczestników zorganizowano dla nich pole namiotowe. Podczas imprezy powstał okolicznościowy mural z logo firmy Ekoland, który zdobił będzie obiekt MOSiR Kraśnika do czasu kolejnej edycji wydarzenia.

Drugie życie książek

Firma Ekoland w ramach prowadzonego na terenie kraśnickiego PSZOK „Kącika rzeczy używanych” zebrała partie książek i przekazała je do miejsc nazywanych „bibliotekami dla każdego”. Są to domki dla książek zlokalizowane na terenie miasta Kraśnik, z którego każdy może wypożyczyć książkę, przeczytać i oddać. Mieszkańcy także mogą oddawać swoje książki do bibliotek i w ten sposób dać im drugie życie. Cieszymy się, że z „Kącika rzeczy używanych” tak często korzystają odwiedzający nas mieszkańcy okolicznych gmin i odnajdują w nim coś dla siebie. Ideą powstania takiego miejsca było zmniejszenie ilości odpadów, które trafiają do punktów PSZOK.





Żuźlowcy Motoru po raz drugi Mistrzami Polski!

ADAM PRZYSTUPA

„Puchar jest nasz!” mogli zaśpiewać lubelscy kibice po zwycięstwie ich drużyny w finałowym dwumeczu żuźlowej PGE Ekstraligi ze Spartą Wrocław. Zespół Speedway Motor Lublin obronił tym samym zdobyty przed rokiem tytuł Drużynowych Mistrzów Polski.

Po zasłużone w przekroju całego roku trofeum sięgnęła drużyna w składzie: Bartosz Bańbor, Mateusz Cierniak, Kacper Grzelak, Jarosław Hampel, Jack Holder, Dominik Kubera, Fredrik Lindgren, Antti Vuolas, Bartosz Zmarzlik.

Serdeczne gratulacje oraz podziękowania za moc niezapomnianych emocji i wrażeń dla zawodników oraz tych wszystkich, bez których wizji oraz ciężkiej i konsekwentnej pracy ten sukces byłby niemożliwy z Jakubem Kępą, Piotrem Więckowskim, Aleksandrą Marmuszewską, Maciejem Kuciapą, Jackiem Ziółkowskim, Marcinem Świdorskim i Markiem Kępą na czele.

Cieszymy się, że znajdując się w gronie partnerów klubu, możemy jako KOM-EKO czuć się częścią zwycięskiego zespołu.

Niezmiennie wspieramy lubelski żużel!



FOTO: Speedway Lublin.

LAOŚ

zorientowani na środowisko

NATALIA KASAK



Odpady przemysłowe, w najprostszym ujęciu, to odpady powstające w wyniku prowadzenia procesów produkcji przemysłowej, procesów wytwórczych lub po prostu, wskutek prowadzenia działalności gospodarczej (dotyczą pierwszych 19 grup, ujętych w katalogu odpadów [Dz.U. 2020 poz.10]). Jeśli odpady wykazują jedną lub więcej właściwości, takich jak np. łatwopalność, toksyczność, rakotwórczość, właściwości wybuchowe czy żrące, klasyfikowane są jako odpady niebezpieczne. Odpady niebezpieczne, ze względu na swoje właściwości, są wysoce uciążliwe dla środowiska naturalnego. W skrajnych przypadkach mogą zagrażać życiu lub zdrowiu ludzi oraz powodować nieodwracalne szkody w środowisku.

Wielkość i charakter wytwarzanych, przez przedsiębiorstwa odpadów, zależy od branży, w której funkcjonują. Dane statystyczne, opublikowane przez GUS, wskazują, iż ilość wytworzonych odpadów przemysłowych w Polsce, w 2021 roku, była na poziomie 107 712 000 Mg, a 61,9% ogólnej ilości wytworzonych odpadów przemysłowych, pochodziło z przemysłu wydobywczego, głównie z sektora węglowego. To samo źródło podaje, iż w 2021 roku ilość składowanych odpadów przemysłowych wynosiła 47 milionów ton. Jedynie 50% masy wszystkich wytwarzanych odpadów przemysłowych jest unieszkodliwiana poprzez obróbkę termiczną lub mechaniczną oraz w procesie recyklingu.

Powyższe dane statystyczne dają nam potwierdzenie, iż pomimo ustanowionej na poziomie prawnym, pięciostopniowej hierarchii gospodarowania odpadami (według której najbardziej

pożądanym jest zapobieganie powstawaniu odpadów, następnie przygotowanie do ponownego użycia i recykling), dla wielu zakładów, działania określone w górnej części piramidy, nadal stanowią ogromne wyzwanie, często nawet niemożliwe do zrealizowania.

Lubelska Agencja Ochrony Środowiska S.A., wychodzi naprzeciw problemom związanym z zagospodarowaniem odpadów przemysłowych w tym również odpadów niebezpiecznych.

Spółka LAOŚ została powołana do funkcjonowania w 1994 roku.

Od początku swojej działalności realizuje usługi związane z odbiorem, transportem i zagospodarowaniem odpadów. W kolejnych latach działalności LAOŚ poszerzał swoje portfolio o usługi doradcze oraz laboratoryjne.

Można śmiało powiedzieć, że ochroną środowiska zajmujemy się kompleksowo.

W ramach działalności doradczej, wspieramy przedsiębiorstwa w uzyskiwaniu decyzji administracyjnych w obszarze ochrony środowiska, a także w codziennym funkcjonowaniu, prowadząc ewidencję odpadową, czy też sporządzając raporty w zakresie emisji, ilości wytworzonych odpadów, itp.

Nasze laboratorium realizuje usługi badawcze w oparciu o wdrożony system zarządzania, zgodny z Normą PN-EN ISO/IEC-17025:2018-02, określającą ogólne wymagania dotyczące kompetencji laboratoriów badawczych i wzorcujących. Posiadamy certyfikat akredytacji (AB 1183) przyznany przez Polskie Centrum Akredytacji (PCA), w ramach którego wykonujemy:

Badania i pomiary czynników szkodliwych i uciążliwych w środowisku pracy:

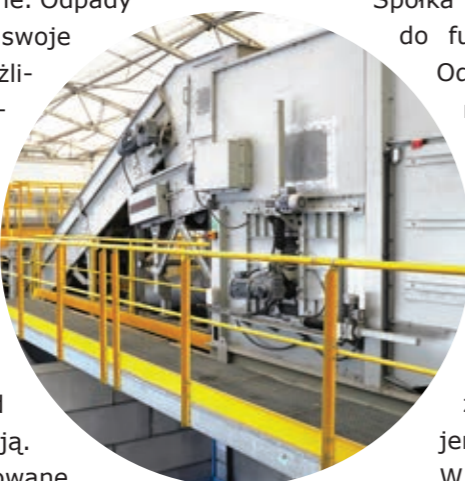


FOTO: z archiwum LAOŚ.

hałas, drgania mechaniczne, mikroklimat, nielaserowe promieniowanie optyczne, oświetlenie, zapylenie, lotne związki organiczne, tlenek węgla tlenki azotu, amoniak, mangan, tlenki żelaza.

Badania i pomiary w środowisku ogólnym:

- Hałas pochodzący od instalacji, urządzeń i zakładów przemysłowych.
- Badania fizykochemiczne ścieków, wód opadowych i roztopowych, gleby.
- Pobieranie próbek powietrza, ścieków, wód opadowych i roztopowych, gleby.

Dziś Lubelska Agencja Ochrony Środowiska S.A. jest jednym z nielicznych podmiotów w Polsce, posiadających decyzję umożliwiającą przetwarzanie odpadów niebezpiecznych. Zgodnie z posiadaną decyzją administracyjną w zakresie gospodarki odpadami, możemy przetwarzać w procesie R12, 24 kody odpadów, w tym 6 kodów odpadów niebezpiecznych. W chwili obecnej wydajność instalacji wynosi 6 000 Mg/rok.

Celem przetwarzania odpadów przemysłowych jest wydzielenie frakcji surowcowych. Kilkuetapowy proces sortowania pozwala na odzielenie tzw. frakcji pozytywnych, które sprzedawane są jako surowce wtórne, lub są przekazywane do dalszego recyklingu. Powstająca w ostatnim etapie sortowania frakcja odpadów lekkich (frakcja wysokoenergetyczna), jest



przeznaczona do produkcji paliwa alternatywnego. Ta frakcja odpadów, jest przekazywana jako pre-RDF do kolejnych spółek operacyjnych Grupy KOM-EKO, w których przetwarzana jest na gotowe paliwo alternatywne. Paliwo alternatywne (tzw. RDF), jest przekazywane cementowniom, które wykorzystują je jako jedno ze źródeł pozyskiwania energii na cele technologiczne.

Odpady niebezpieczne są przetwarzane w takim samym procesie lecz otrzymywana w wyniku ich przetwarzania frakcja, jest w całości przekazywana do producentów paliwa alternatywnego niebezpiecznego, skąd finalnie przekazywane jest podmiotom przemysłu cementowego. Stosowane przez cementownie technologie oraz odpowiedni dobór parametrów fizykochemicznych procesu



odpadów realizujemy w oparciu o Pozwolenie Zintegrowane, dzięki któremu możemy odbierać 893 kody odpadów, w formie stałej lub ciekłej, a w tym, aż 411 kodów odpadów niebezpiecznych. Zebrane odpady, zarówno niebezpieczne jak i inne niż niebezpieczne, przekazujemy wyspecjalizowanym firmom, zajmującym się szeroko rozumianym recyklingiem, unieszkodliwianiem w procesach termicznego przekształcania lub do oczyszczalni ścieków. Pewne rodzaje zbieranych przez nas odpadów stałych są wykorzystywane w innych branżach przemysłowych, jako surowce do produkcji, np. cementu. Z kolei, niektóre rodzaje odpadów ciekłych są przekazywane podmiotom, które wykorzystują je w procesach chłodzenia eksploatowanej instalacji.

Taki model postępowania z odpadami, wpisuje się w prośrodowiskową politykę UE, przekuwając ideę Gospodarki o Obiegu Zamkniętym w praktykę.

Więcej o działaniach Lubelskiej Agencji Ochrony Środowiska na: www.laos.com.pl

spalania paliw, gwarantuje spełnienie wymagań prawnych w zakresie warunków termicznego przekształcania odpadów. Wykorzystanie paliwa alternatywnego jako zamiennika węgla kamiennego, zmierza do ograniczenia wykorzystywania zasobów naturalnych i ograniczenia emisji zanieczyszczeń związanych z procesami począwszy od jego wydobycia, aż po finalne wykorzystanie w procesach spalania.

Poza działalnością związaną z przetwarzaniem odpadów, realizujemy również proces zbierania odpadów przemysłowych w tym również odpadów niebezpiecznych. Zbieranie

Ogranicz ilość odpadów!

Wedle uznanej powszechnie hierarchii postępowania z odpadami pierwszą i najbardziej preferowaną metodą postępowania winno być zapobieganie powstawania odpadów.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołamy uniknąć wytwarzania odpadów, ale jeśli spróbujemy możemy ich ilość ograniczyć. Sposobów jest kilka:

- Przemysłmy nasze zakupy. Choć to nie łatwe odwiedzając sklepy nie kierujmy się nagłym impulsem. Zawsze warto odpowiedzieć sobie na pytanie, czy na pewno to, co chcemy kupić będzie nam użyteczne. Przypomnijmy sobie, jak wiele z rzeczy, których się pozbywamy podczas domowych porządków (najczęściej przy okazji remontów) okazuje się być prawie nieużywane. Często opróżniając strychy czy piwnice odnajdujemy rzeczy, których brak nam w istocie nie doskwierał. I jeszcze jedno – od lat obserwuję nasze śmieci z perspektywy zakładu zagospodarowania odpadów – nie uwierzycie jak wiele jest wśród nich przeterminowanej żywności i leków.
- Decydując się na zakup wybierajmy produkty trwałe, dobrej jakości, zaprojektowane z myślą o ponownym użyciu
- Próbujmy ograniczyć ilość kupowanych opakowań – na codziennych zakupach próbujmy zastępować jednorazowe reklamówki z tworzyw sztucznych torbami wielorazowego użytku. Jeśli zadamy sobie odrobinę trudu, znajdziemy i takie, które będą nie tylko ekologiczne i trwałe, ale również gustowne i stylowe
- Kupując żywność i napoje starajmy się wybierać te w opakowaniach zwrotnych
- Kupując baterie, w miarę możliwości decydujmy się na te nadające się do doładowania a nie baterie jednorazowe

- Jeśli nie jesteś zainteresowany nie przyjmuj korespondencji i ulotek reklamowych, które za chwilę i tak wyrzucisz do kosza na śmieci
- Jeśli coś się zepsuło, spróbuj to naprawić – trudna rada, zważywszy, iż nie każdy z nas posiada takie umiejętności, a i czasu pewnie nie staje. Mam oczywiście świadomość, iż często koszt naprawy przewyższa cenę zakupu nowego przedmiotu a wiele firm dba o to by stymulując popyt na swoje produkty ograniczać ich żywotność. Daleko im do słynnej żarówki Shelby Electric, która od 1901 roku służy strażakom w kalifornijskim Livermore.
- Jeśli chcesz się czegoś pozbyć, zamiast wyrzucać do śmietnika oddaj potrzebującym. Mogą to być organizacje prowadzące działalność charytatywną, ale równie dobrze może to być twój sąsiad. Na zachodzie Europy emanacją tej idei



są m.in. tak zwane GIVEBOXy w formie mebli miejskich umożliwiających anonimowe i bezpłatne pozostawienie niepotrzebnych przedmiotów użytkowych. Zdaję sobie oczywiście sprawę, iż w polskich warunkach gros wyrzucanych rzeczy jest często w stanie, który nie zachęca ani nie umożliwia ich ponowne użycie, ale próbować warto. Podobnym zachowaniem jest również tak zwany bookcrossing, czyli idea nieodpłatnego przekazywania przeczytanych książek poprzez pozostawianie ich w miejscach wyznaczonych w tym celu w przestrzeni publicznej. Osobiście wychodzę z założenia, że nie można mieć za dużo książek a jedynie za mało przeznaczonych na nie półek, ale zmuszony z częścią z nich się rozstać miast na makulaturę oddam je do pobliskiej biblioteki.

Lista to oczywiście niepełna, i pewnie niedoskonała. Ale warto próbować...

FOTO: Z archiwum LAOŚ.



Selektywna zbiórka

konieczna, ale niewystarczająca

Gospodarowanie odpadami obrosło dziesiątkami mitów i przekłamań, które warto wyjaśniać. Jednym z nich jest przekonanie, że zbierając selektywnie odpady w naszych domach otrzymujemy surowce wtórne gotowe do recyklingu. Jeśli tak, to po co budować sortownie odpadów?

Nadto, jeśli każdy z nas segreguje odpady w domu, dlaczego tyle mówi się o niskich poziomach recyklingu?

ADAM PRYZSTUPA

Spróbujemy wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Przekonanie, że wszyscy segregują odpady jest błędne. Wedle badań przeprowadzonych na potrzeby kampanii #rePETujemy sortowanie śmieci w swoich domach deklaruje jedynie 66% naszych rodaków. Spośród nich aż 29% zbiera selektywnie tylko niektóre ich frakcje – najczęściej jest to szkło (75%), papier (61%) i tworzywa sztuczne (60%). Potwierdzeniem tych wyników jest stwierdzenie obiektywnego faktu, iż odpady niesegregowane (zmieszane) stanowią wciąż 50% wszystkich zbieranych odpadów komunalnych.

Każdy z nas popełnia błędy podczas segregowania odpadów w naszych domach, stąd konieczne jest doczyszczanie selektywnie zbieranych odpadów by uzyskać jakość surowców akceptowaną przez recyklerów. To zadanie dedykowanych do tego linii sortowniczych.

Każdy transport odzyskanych surowców przechodzi na wjeździe do instalacji recyklera restrykcyjną kontrolę jakości. Jak restrykcyjną? Dość powiedzieć, że w przypadku jednego z największych recyklerów makulatury zadawalając poziom wilgotności papieru, przy którym nie grożą kary finansowe to jedynie 10%. Transport, w którym stwierdza się powyżej 35%

wilgotności papieru zostaje skierowany do depozytu i jest zwracany nadawcy. Podobny los czeka dostawę, w której stwierdzone będzie ponad 5% zanieczyszczeń. Z punktu widzenia papierni niepożądane zanieczyszczenia niepapiernicze to m.in.: tworzywa sztuczne w postaci folii, okleiny meblowe, materiały inroligatorskie, folie aluminiowe, szkło, resztki artykułów spożywczych i pasz, grube połączenia metalowe np. w postaci zamków do segregatorów. Z punktu widzenia mieszkańca, który segreguje odpady wydaje się to zrozumiałe. Trudniejsze do uniknięcia są błędy związane z obecnością w segregowanej makulaturze takich nieakceptowanych przez papiernie zanieczyszczeń natury papierniczej jak m.in. papiery metalizowane, papiery laminowane, papiery nasycone tłuszczami, etykiety i inne papiery samoprzylepne, papiery z okienkami z folii, tapety, papiery pergaminowe. Tu swoją rolę doczyszczającego segregowane odpady spełniają instalacje sortownicze. W przypadku odpadu, który wydawałoby się jest najprostszym do segregacji, czyli szkła, rolą sortowni jest odseparowanie przede wszystkim worków z tworzyw sztucznych oraz metali i ceramiki.

Najwięcej pracy linie sortownicze mają w przypadku doczyszczania „żółtego

worka” zawierającego tworzywa sztuczne i metale. Doświadczenie pracy wysoce zautomatyzowanej instalacji należącej do Grupy KOM-EKO spółki EKOPAK wskazuje, iż w przypadku tych odpadów wstępny proces przesiewania na separatorach dyskowych wydziela blisko 20% frakcji drobnej o wielkości do 40 mm złożonej w przeważającej części z minerałów, resztek jedzeniowych i drobnych fragmentów tworzyw.

Drugim ważnym zadaniem jakie spełniają sortownie odpadów jest ich segregacja ze względu na rodzaje. Pamiętajmy, iż do „żółtego worka” wrzucamy metale i tworzywa sztuczne. Mówimy więc o grupie odpadów, w której zawierają się opakowania z metali żelaznych, opakowania z aluminium, opakowania wielomateriałowe i wiele rodzajów plastików – jeśli liczyć jedynie po standardowych oznaczeniach na dnie opakowań co najmniej siedem: PET, HDPE, PVC, LDPE, PP, PS i inne. Każdy z tych odpadów znajduje się w zainteresowaniu innego recyklera, każdy poddawany jest innym procesom recyklingu, stąd konieczność ich dalszej segregacji. Oczywiście konieczne jest też wydzielenie tych rodzajów plastików, które ze względu na rodzaj czy brak

dostępnej technologii przetwarzania nie trafią do recyklerów. Nadto np. w przypadku butelek PET istnieje konieczność ich segregacji według kolorów oraz eliminacja tych powleczonej folią termokurczliwą, nie nadających się do recyklingu.

Nikt z nas w domowych warunkach nie byłby w stanie wysegregować tyle frakcji odpadów zważywszy, że dziś przy pięciofrakcyjnym systemie selektywnej zbiórki brak możliwości (zwłaszcza w zabudowie wielorodzinnej) wygospodarowania miejsca na właściwe prowadzenie segregacji jest jedną z barier jej rozwoju. Stąd potrzeba istnienia specjalistycznych linii sortowniczych, które doczyszczają i jeszcze głębiej segregują zbierane odpady.

Ciekawe i zaskakujące w tym względzie okazują się wyniki wykonanej swego czasu przez KOM-EKO analizy morfologicznej zbieranych selektywnie odpadów pod kątem ilości obecnych w nich zanieczyszczeń i przydatności do recyklingu. Przydatności rozumianej nie tylko jako istnienie technologii umożliwiającej przetworzenie danego rodzaju surowca, ale też realnej możliwości ich zbytu.

Potencjał dla trzech podstawowych frakcji, przy hipotetycznej 100% skuteczności wybierania wygląda następująco:



Podkreślmy. Bez wysiłku mieszkańców, którzy prowadzą selektywną zbiórkę odpadów nie byłby możliwy ich recykling. To warunek konieczny, ale niewystarczający. Zebrane przez nich w niebieskich, zielonych i żółtych workach odpady nie są jednak surowcami gotowymi do recyklingu. By ten wysiłek nie poszedł na marne konieczne jest wsparcie go pracą wyspecjalizowanych instalacji.

Okiełznać KZR

O tym czym są kryteria zrównoważonego rozwoju i dlaczego musimy je potwierdzać wytwarzając paliwa z odpadów rozmawiamy z **Natalią Kasak** koordynatorką ds. systemu KZR INiG w Grupie KOM-EKO.

Zjawiłaś się w Grupie KOM-EKO w Lubelskiej Agencji Ochrony Środowiska w związku z systemem certyfikacji KZR INiG.

Słynnymi KZR-ami, które wciąż jeszcze przerażają, ale nie są aż tak straszne w praktyce, kiedy już się je pozna i wdroży. Używając przenośni, to musi zastrybić się w strukturach firmy jak kółeczka zębate i jak już zacznie dobrze działać to działa. Niemniej jak w przypadku każdej nowości to musi chwilę potrwać. Można by się zastanawiać, czy w zakresie wytwarzania paliwa alternatywnego z odpadów to najsensowniejsze rozwiązanie (na rynku spotykamy różne opinie), ale musimy przyjąć rzeczywistość taką jaka jest i musimy starać się w niej odnaleźć.

Bardzo nam w tym pomagasz.

Staram się pomagać najlepiej jak umiem, zgodnie z moją najlepszą wiedzą, którą staram się stale pogłębiać. To jest system dynamiczny,

który cały czas ewoluuje. Ostatnio była dosyć duża zmiana dotycząca raportowania a z tego co wiem Komisji Europejskiej przedłożono dokumenty naszego rodzimego systemu KZR, które wprowadzą kolejne zmiany. Będziemy musieli się do nich dostosować.

Nim dopadną nas te zmiany, wyjaśnijmy mniej zorientowanym, co się kryje za tajemniczym terminem KZR.

KZR to skrót od Kryteria Zrównoważonego Rozwoju. Są to kryteria, które określa Dyrektywa RED II w sprawie promowania stosowania energii ze źródeł odnawialnych. W chwili obecnej trwają zaawansowane prace nad nowelizacją tej Dyrektywy (RED III), ale póki co warunki cały czas dyktuje nam dyrektywa z 2020 r. Kryteria zrównoważonego rozwoju, które należy spełnić są zależne od tego w jakiej ścieżce certyfikacji się poruszamy. Dla Grupy KOM-EKO jako wytwórcy paliwa alternatywnego z odpadów (RDF) właściwa jest ścieżka określana jako paliwa stałe z biomasy. Troszkę

upraszczając można powiedzieć, iż kryteria zrównoważonego rozwoju w naszym przypadku dotyczą głównie potwierdzenia pochodzenia odpadów, z których produkowany jest RDF i odpowiednie prowadzenie bilansu masy. Warto tutaj dodać, iż obowiązek certyfikacji dotyczy całego łańcucha dostaw.

Skąd ten obowiązek?

Obowiązek poświadczania KZR w branży odpadowej jest konieczny ze wzg. na to, że ostateczni konsumenci paliwa RDF, czyli głównie cementownie, które wykorzystują je do wytwarzania energii na cele własne, muszą przed swoim systemem certyfikacji EU ETS (jako uczestnicy handlu emisjami) wykazać, że spalana przez nich biomasa jest "zrównoważona" aby móc uznać ją za zeroemisyjną. Aby to udowodnić, należy potwierdzić, że biomasa zawarta w paliwie spełnia kryteria zrównoważonego rozwoju. Tak więc to przed nimi musimy poświadczyc dokumentem PoS (Proof of Sustainability) spełnienie KZR dla każdej partii paliwa, które im przekazujemy. Zaś aby to poświadczyc musimy znać pochodzenie odpadów. I tak idąc po nitce do kłębka musimy dotrzeć aż do ich wytwórcy. W myśl tego systemu jest nim instalacja, podmiot, przedsiębiorstwo, które odpad wytworzyło po raz pierwszy. System uwzględnia kilka wyjątków, jak w przypadku prowadzonej przez KOM-EKO instalacji komunalnej, która na szczęście jest traktowana jako miejsce pochodzenia odpadów.

Czy system KZR, którego wdrożenie jak powiedziałaś jest konsekwencją zapisów w unijnej dyrektywie jest rozwiązaniem powszechnym w Europie?

Absolutnie nie. Na dzień dzisiejszy to wyzwanie podjęły jedynie Polska i Rumunia. Słychać natomiast doniesienia, że dwa wiodące zagraniczne systemy certyfikacji SURE i REDcert zamierzają dostosowywać się do specyfiki branży odpadowej, co wynika zapewne z pojawiającego się popytu na tego typu usługi. Potwierdzenie kryteriów zrównoważonego rozwoju to wymóg na poziomie unijnym należy więc sądzić, że prędzej czy później będą musiały go spełnić również inne kraje.

Czym w istocie jest potwierdzenie KZR? Co musimy udowodnić?

Musimy od wytwórców odpadów uzyskać pewien dokument, deklarację odnośnie odpadów/pozostałości, który potwierdza nam, że odpad,

który odebraliśmy pochodzi bezpośrednio z miejsca jego wytworzenia i dla takiego odpadu znamy jego pochodzenie. Wtedy możemy powiedzieć, że są to odpady które spełniają KZR. Jeżeli mamy jakąś część odpadów z miejsca, które nie może nam potwierdzić tych kryteriów musimy paliwo z nich wytworzone uznać za niezrównoważone. Wszystkie zabiegi certyfikacyjne, podpisywanie deklaracji, audyty naszych wytwórców, od których odbieramy odpady mają na celu obniżenie do jak najniższego poziomu ryzyka, że ktoś nas oszuka oddając nam jako odpad coś, co odpadem być nie powinno, bo np. produkt został celowo zmodyfikowany, by stać się odpadem, czy uznać go jako odpad. Oczywiście tak naprawdę nigdy nie jesteśmy tego pewni w 100%. Otrzymując poświadczenie (PoS) od podmiotu certyfikowanego traktujemy go jako odpad sprawdzony, przez niego zweryfikowany. Również my odbierając odpad o wytwórcy zgodnie z zasadami systemu powinniśmy w ramach prowadzonych audytów sprawdzać wrywkowo dostawców, czy to co nam przekazują jest zgodne ze stanem faktycznym i stanem formalnym który przedstawiają.

Czyli ten system chroni nas przed tym, aby ktoś kto chce produkować paliwo alternatywne czy jakiegokolwiek paliwo z odpadów rzeczywiście produkował je z odpadów, których pochodzenie jest mu znane, a nie z surowców, które próbuje przedstawić jako odpady, a które w rzeczywistości nimi nie są?

W naszym konkretnym zakresie paliw alternatywnych z odpadów certyfikacja chroni nas przed tym, że nie wkradnie się tutaj ktoś, kto chce oszukać ten system i generuje odpady w jakiś zafałszowany sposób. Można powiedzieć, że dostajemy rykoszetem za inne branże, w przypadku których występowały oszustwa w ramach rynku biomasowego. Dotyczyło to przede wszystkim leśnictwa, ale też UCO, czyli olejów przepracowanych, które nadal są w KZR produktem wysokiego ryzyka, w związku z czym podlegają większej częstotliwości audytów. Oleje przepracowane były towarem mocno pożądanym na rynku więc zdarzały się oszustwa polegające na tym, że firmy np. celowo zanieczyszczały olej spożywczy tylko po to, by nadać mu status odpadu i mógł być on potraktowany jak UCO. Kłamstwo zwykle ma krótkie nogi, więc te oszustwa wyszły na

FOTO: Adobe Stock.

FOTO: Redakcja.

jaw w związku z czym zostały zaostrzone kontrole i nadzór nad tymi odpadami. Stąd też, jeżeli ktoś już miał do czynienia z dokumentami KZR, to zauważy, że w deklaracji, którą podpisują nam wytwórcy jest zapis: „niniejszym oświadczam, iż odpady które zostały przekazane nie zostały wytworzone celowo i nie zostały zmodyfikowany proces, w którym powstały tak, by powstało ich więcej lub by w ogóle powstały w procesie, w którym powstać nie powinny”. I tak naprawdę w tym jednym zdaniu można by zamknąć cały sens potwierdzenia pochodzenia odpadów.

W Grupie KOM-EKO mamy zarówno finalnych wytwórców paliwa alternatywnego, ale również spółki przygotowujące preRDF. Każda z nich musiała przejść proces certyfikacji.

Tak, jako pierwsza 26 kwietnia 2022 r. certyfikat KZR INiG uzyskała KOM-EKO S.A. Spółka przeszła już również pierwszą recertyfikację w kwietniu 2023 r. Jako druga certyfikat KZR INiG uzyskała 30 grudnia 2022 spółka EKOPAK. W podobnym czasie audyt przechodziła Lubelska Agencja Ochrony Środowiska uzyskując certyfikat również 30.12.2022, zaś nie niedawno dołączyła do naszej Grupy spółka EKOPALIWA, która certyfikat uzyskała w roku 2022 a audyt recertyfikujący przeszła 15 marca 2023 r. Wyjątkiem w grupie jest spółka EKOLAND POLSKA, która prowadzi instalację komunalną w ścisłym tego słowa znaczeniu tzn. trafiają tam tylko i wyłącznie odpady komunalne, a dla takich odpadów ta instalacja uznawana jest, jak już wspominałam, jako miejsce ich pochodzenia, co nie wymaga certyfikacji.

To odmienna sytuacja od tej z jaką mamy do czynienia w KOM-EKO, gdzie przyjmowane są również odpady przemysłowe.

To bardzo ważne. Jeżeli instalacje komunalne przyjmują jakąś część odpadów przemysłowych, które wchodzi w proces produkcji preRDF czy RDF, to w tym momencie staje się ona dla tych odpadów pierwszym punktem skupienia. Wtedy by przekazać swoje odpady jako spełniające KZR podmiot musi przejść proces certyfikacji. Można powiedzieć, iż tak naprawdę jednym z ważniejszych etapów jest właściwe określenie miejsca danego podmiotu w łańcuchu dostaw, by zeweryfikować czy w danym przypadku certyfikacja jest wymagana, czy też nie. To jest min. właśnie to z czym się mierzę na co dzień. To jest ryzyko,

na które uczulam wszelkie spółki, byśmy mając do czynienia z instalacjami komunalnymi starali się weryfikować jak najbardziej rzetelnie czy nie przyjmują one obok odpadów komunalnych innych ich kategorii, których nie możemy uznać za zrównoważone. Wprowadzanie na rynek biomasy niezrównoważonej jako spełniającej kryteria zrównoważonego rozwoju to przewinienie, które, jeśli nie uda się go skorygować grozi odebraniem certyfikatu. Taka sytuacja to już duży problem. Oznacza trzy miesięczną karencję i konieczność powtórnego przejścia procesu certyfikacji. Myślę, że można zakładać w takim przypadku około półroczne wyłączenie z działalności w ramach systemu KZR.

Na dzień dzisiejszy oznacza to brak możliwości zbytu paliwa alternatywnego...

Dziś niestety tak. W roku 2022, w okresie przejściowym cementownie miały jeszcze do tego tematu podejście zróżnicowane. Niektóre z nich z dniem 1 stycznia 2022 r. powiedziały jasno – nie odbierzemy od nikogo paliwa alternatywnego, dla którego nie będzie w 100% poświadczenia spełnienia kryteriów zrównoważonego rozwoju. Inne, w okresie przejściowym podeszły do tego zdroworozsądkowo. Dziś już nie mają wyboru, bo ma to dla nich wymierne konsekwencje finansowe. Cementownie są uczestnikami handlu emisjami i za te emisje muszą niemało płacić. By odliczyć sobie pewną część opłat muszą mieć poświadczenie o spełnieniu kryteriów zrównoważonego rozwoju dla paliwa, które otrzymali od swoich dostawców. W przypadku RDF jest to przeliczane na zawartość biomasy w tym paliwie. Tylko w takim przypadku mogą potraktować tę biomasę jako zeroemisyjną i nie płacić za emisję jaka powstaje w wyniku jej spalania. To bardzo duże pieniądze, więc takie a nie inne podejście cementowni do tego zagadnienia, nie powinno nikogo dziwić. Zdziwienie budzi raczej tak radykalny tryb wprowadzania tych zmian i wymogów na poziomie krajowym, bo tak naprawdę czasu na poznanie systemu było niewiele. Stąd też bardzo duże niezrozumienie na rynku zasad jego funkcjonowania. Bardzo często mam do czynienia z podmiotami, które są już nawet certyfikowane, ale mają bardzo małą wiedzę na ten temat. Zachęcam do weryfikowania niesprawdzonych informacji u źródła, u przedstawicieli systemu, a tym w przypadku naszego polskiego KZR jest nim Instytut Nafty i Gazu.

Jaki masz ogólny obraz funkcjonowania rodzimego systemu KZR?

Na razie w ramach branży odpadowej jest to system jeszcze niedoskonały, ale warto tutaj zaznaczyć, że to jedyny system, który podjął się prac nad dostosowaniem swoich wymagań do branży odpadowej. Dobrowolnych systemów certyfikacji dotyczących spełnienia kryteriów zrównoważonego rozwoju jest wiele, natomiast żaden z nich nie jest dostosowany do branży odpadowej. W niektórych aspektach, jak kategoryzacja odpadów, rozmija się on z zapisami stosownych ustaw. Są to systemy zorientowane typowo na biomasę. Nie ma w nich przestrzeni na stwierdzenie, że coś nie zawiera biomasy, a jak dobrze wiemy w gamie odpadów, które są przekazywane w ramach łańcucha produkcji RDF znajdują się takie, które z biomasą nie mają nic wspólnego. Nie zmienia to faktu, że musimy mieć potwierdzenie spełnienia KZR dla tych odpadów. To niedoskonałość systemu, który „mocno tkwi w biomasie”, bo dla takich celów u swych początków był stworzony. Dostosowanie go do branży odpadowej nie jest proste, ten proces cały czas trwa, stąd jego niedoskonałości. Przed twórcami systemu i jego uczestnikami jeszcze długa, wyboista droga do celu. Niemniej co ważne, to system zatwierdzony przez Komisję Europejską i uznawany w ramach całej Unii.

Mam wrażenie, że twoje doświadczenie zawodowe pozwala ci się łatwiej odnajdować w realiach systemu KZR niż innym.

Zdecydowanie tak. Wcześniej pracowałam w firmie konsultingowej, gdzie zawodowo zajmowałam się wdrażaniem różnych systemów. Głównie to były systemy zarządzania z rodziny ISO i EMAS oraz certyfikacji pewnych systemów typowo dotyczących recyklingu. Miałam też styczność z systemem KZR, który początkowo wdrażałam głównie w branżach typowo rolniczych wśród dostawców surowców do gorzelnicy czy tłoczni olejów. System nie był prosty, niewiele osób go rozumiało, ale gdy pojawiły się pierwsze doniesienia, iż czeka nas duża rewolucja i będzie on adoptowany do branży odpadowej postanowiłam się tym zająć. Zacząłam się wgryzać w ten system, rozbierać go na części pierwsze, potem byłam na szkoleniu organizowanym przez Instytut Nafty i Gazu. Wreszcie przyszedł czas na pierwsze wdrożenia w cementowniach i u producentów RDF,

które pozwoliły mi się zapoznać z branżą. I tak to poszło.

Teraz spoglądasz na system KZR niejako od środka...

Można powiedzieć, że przeszłam od teorii, którą przekazywałam innym do praktyki. Zajmuję się tematem KZR w Lubelskiej Agencji Ochrony Środowiska oraz koordynuję to zagadnienie we wszystkich spółkach Grupy KOM-EKO. Pierwsze co rzuca się w oczy to wbrew zapewnieniom jego twórców duża pracowitość związana z funkcjonowaniem systemu. Nie myślałam, że jego obsługa, przygotowanie i pozyskanie niezbędnych dokumentów będzie zajmowało aż tak dużo czasu. Staramy się to usprawnić i oczywiście dziś jest już o wiele lepiej niż na początku jego funkcjonowania. Liczę, że dalsza poprawa możliwa będzie w związku z rozbudową naszego wewnętrznego systemu CRM. Dla mnie osobiście, możliwość pracy w jednej branży, skoncentrowania się na śledzeniu zachodzących w niej zmian, to bardzo pozytywna zmiana w stosunku do charakteru mojej wcześniejszej pracy. Jako konsultant nigdy nie wiedziałam z firmą jakiej branży będę miała do czynienia i za każdym razem musiałam uczyć się jej specyfiki.

Sama branża zagospodarowania odpadów czymś Cię zaskoczyła?

Chyba tylko ilością odpadów jaka jest zbierana i przetwarzana. Nie spodziewałam się, że jest ich taki ogrom. Dopiero kiedy oglądasz to z bliska rozumiesz jakimi jako ludzie, jesteśmy śmieciarzami. Celowo używam tego określenia. Kiedyś usłyszałam, jak ktoś w ten sposób nazywał pracowników obsługujących śmieciarkę, ale się bardzo mylił. To nie oni są śmieciarzami. Jesteśmy nimi tak naprawdę my sami za sprawą produkowanych przez nas ogromnych ilości odpadów. Widząc to z bliska rozumiesz, jak mała jest jeszcze nasza świadomość w zakresie ich selektywnego zbierania. Jestem teraz na to jeszcze bardziej wyczulona. Sama, zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą segreguję odpady i boli mnie, kiedy widzę, że inni tego nie robią. Zastanawiam się wtedy w jaki sposób i na jakim etapie powinniśmy docierać z właściwą edukacją, by z tym skutecznie walczyć. Jak sprawić, byśmy przestali traktować odpady jako odpady, ale widzieli w nich surowce wtórne. Na razie nie wygląda to dobrze.



Nie tylko mężczyźni

Zwykło się sądzić, iż pewne zawody zarezerwowane są tylko dla mężczyzn, tymczasem jak się okazuje równie dobrze potrafią się w nich odnaleźć kobiety. O tym jak wygląda praca operatorki wózka widłowego rozmawiamy z **Wioletą Piotrowicz** pracującą w Centrum Recyklingu EKOPAK.

Pani Wioletto, czas w pracy spędza Pani za kierownicą wózka widłowego, co może budzić większe niż zwykle zainteresowanie, bo w większości przypadków operatorzy wózków to mężczyźni...

Zgadza się, często kierowcy, którzy przyjeżdżają do firmy na załadunek surowcami wtórnymi, są tym bardzo zdziwieni i zaskoczeni. To mnie nie deprymuje. Myślę, że kobiety może same w dzisiejszych czasach dyskryminują się przez to, że nie wierzą w siebie, w swoje możliwości.

Budziła Pani zaskoczenie również wśród koleżanek i kolegów?

Pamiętam jak pierwszego dnia pracy na koniec zmiany schodząc do szatni mijalam kolegów bardzo zdziwionych moją osobą. Mieli wielkie oczy i pytali, co ja tu robię? Dlaczego nie stoję przy linii sortowniczej? Skąd mam radiotelefon, którym posługują się operatorzy wózków? Wytłumaczyłam, że tak jak oni jeżdżę na wózku. Teraz już się przyzwyczaili.

Skąd pomysł, żeby zdobyć uprawnienia pozwalające obsługiwać taki pojazd?

Prowadzę niewielkie gospodarstwo rolne, co przy dzisiejszych cenach zboża i inflacji nie gwarantuje opłacalności. Szukałam więc alternatywy, dodatkowej pracy. Można więc powiedzieć, że trochę życie postawiło mnie w takiej sytuacji, ale ja też chciałam pójść do przodu, nie stać w miejscu, nie rozpaczać tylko działać. Miałam chęci i postawiłam sobie cel, który chciałam zrealizować. To są może małe kroczki, ale ważne jest dla mnie, by posuwać się do przodu, rozwijać, robić coś nowego. Pracując na roli życie pokazało mi

kiedyś, że traktor nie jest stworzony wyłącznie dla facetów. Potrafię przy jego pomocy siać czy orać. Tak samo i wózek widłowy nie jest tylko dla nich, choć na kursie i egzaminie byłam jedyną kobietą. Po prostu trzeba mieć chęci, ambicję, żeby działać, aby się uczyć. Oczywiście, nie mam jeszcze dużego doświadczenia w pracy na wózku widłowym. Wiadomo, że

mężczyźni mi pomagają, ale staram się też radzić sobie sama.

Jeśli jest taka potrzeba w grę wchodzi samodzielne załadunki samochodów czy ogarnianie magazynu.

Początki zawsze są trudne...

Nie miałam doświadczenia, ale trzeba było się spiąć w sobie i podjąć wyzwanie. To wymaga zaangażowania a czasami determinacji. Jeśli czegoś

nie wiem, pytam, proszę o pomoc, o sugestię, ale czasami muszę radzić sobie sama. Tak jak w pracy na gospodarstwie, tak i tu zamiast przejmować się przeciwnościami robię swoje. Oczywiście miałam obawy, że nie podołam, że nie mam doświadczenia, że pewne czynności trzeba wykonać w określonym czasie a ja dopiero się uczę. W pierwszym tygodniu, kiedy wózek był w naprawie pomagałam obsługiwać belownicę. Widziałam, jak powstają belki z surowcami, pomagałam na nowo belować uszkodzone czy niewymiarowe belki. Dzięki temu doświadczeniu wiem dziś jak z nimi postępować. Potem, kiedy już siadłam za kierownicą wózka obawiałam się, żeby gdzieś nie uderzyć, o coś nie zaczepić, by czegoś nie uszkodzić. Stale staram się na to zwracać uwagę. To nie łatwe, bo pracy jest dużo a do tego dochodzi presja czasu. Każdy dzień





Udostępnione przez Wydawnictwo In Rock - Vesper.



RECENZJA ADAM PRZYSTUPA

Warto przeczytać

Larry McMurtry

„Na Południe od Brazos”

Wydawnictwo Vesper

Western? Wielu skrzywi się z niesmakiem, a ja powiem – tak, western. Mało tego western totalny, wykorzystujący klasyczne motywy i postacie, western wyrastający z literackiej i filmowej tradycji. Przeszło ośmiuset stronicowe tomiszczce uhonorowane nagrodą Pulitzera. Monumentalna powieść drogi ze świetnie nakreślonymi postaciami. Historia spod pióra człowieka, który, jeśli snuje opowieści, to tak, iż z zazdrością spogląda nań hollywoodzka fabryka snów. „Ostatni seans filmowy”, „Czułe słówka” to dzieła, które wiodły Larry’ego McMurtry do „Lonesome Dove”, bo tak w oryginale brzmi tytuł tej książki.

Pomysł powieści zrodził się w wyniku rozmów pisarza z Peterem Bogdanovichem, reżyserem okraszanej Oskarami ekranizacji „Czułych słówek”. Panowie zamyślali stworzyć na poły komediowy, na poły gorzki film o zmierzchu świata kowbojów, w którym role trzech starzejących się bohaterów zajmujących się hodowlą świń miały zagrać ikony gatunku: James Stewart, John Wayne i Henry Fonda. Ze względu na odmowę Wayne’a projekt nazwany roboczo „Streets of Laredo” powędrował na jakiś czas do szuflady, by wrócić po latach ożywiony rozmowami pisarza z ojcem i jego braćmi.

Czasem można przeczytać, iż niemal wszystkie książki McMurtry’ego podszyte są zmaganiem z przeszłością. Tą w skali makro i tą osobistą doświadczającą jego bohaterów. W przypadku „Na południe od Brazos” to naturalny powrót do rodzinnej historii. Realia świata, który już dawno przeminął autor odtwarzał ze wspomnień tych, którzy byli świadkami ostatnich wielkich spędów bydła na Dalekim Zachodzie. Dlaczego, w jakim celu? Wiele wyjaśnia cytat z eseju Thomasa K. Whipple przyjęty za motto powieści: „Cała Ameryka leży u kresu drogi wiodącej przez zupełnie dziki obszar; nasza przeszłość nie obumarła, lecz wciąż w nas żyje. Przodkowie nasi wśród dziczy nosili w sobie cywilizację, my zaś żyjemy w otoczeniu cywilizacji będącej ich dziełem, lecz dzicz nadal w nas tkwi. Marzenia przodków stały się naszym życiem, a ich życie – naszymi marzeniami”. To cytat uniwersalny, choć powity za oceanem. Można się spierać, czy to czego dziś doświadczamy było marzeniem naszych antenatów, ale czyż ich świat nie wydaje się nam na pozór prostszy, uczciwszy i choć nie wolny od cierpień upajający wolnością?

Oto Lonesome Dove, mała osada w Teksasie, w której nieśpieszenie trawia swój czas Augustus McRae i Woodrow Call, dwaj emerytowani pogranicznicy chroniący niegdyś okoliczną ludność przed najazdami Komanczów. Teraz z braku innego zajęcia prowadzą własne Przedsiębiorstwo Handlu Bydłem dostarczając zainteresowanym farmerom stada zagarniane w Meksyku. Monotonie ich życia przerywa pojawienie się dawnego towarzysza ściganego przez prawo. Przyniesione przezeń wieści o dalekiej Montanie, gdzie warunki do hodowli bydła są nieporównywalnie lepsze od spalonego słońcem południa zasiewaj w nich myśl, by podjąć ryzyko i raz jeszcze posmakować życia na szlaku...

Tak zaczyna się kapitalna wielowątkowa opowieść, w której przewodni motyw spędu obudowany jest szeregiem gawęd i anegdot budujących pełne kolorytu postacie kobiet i mężczyzn. Wbrew regułom gatunku McMurtry odziera ich z wszelkiej wzniosłości, stąd może tak dobrze odnajdujemy w nich własne słabości, przywary i dziwactwa. Ich czyny nie zawsze są heroiczne, czasem ich życiem kieruje przypadek czy też zrzędzenia losu. Mnogość wątków i bohaterów sprawia, że każdy odnajduje w „Na południe od Brazos” coś innego. Jedni widzą w niej opowieść o godności życia i godności umiarkowania, inni o samotności i trudności nawiązywania relacji. Dla wielu to po prostu historia o przyjaźni i odpowiedzialności. Najważniejsze, że wszyscy pospołu mają rację.

przynosi nowe doświadczenia. Wciąż się uczyć i lubię to robić.

Praca w branży odpadowej, możliwość poznania procesów przetwarzania odpadów, uwrażliwia na ekologię?

Przyznam się, że po pierwszym miesiącu pracy w firmie nabrałam wstrętu do kupowania produktów w opakowaniach plastikowych. Kiedy widzę je w sklepie od razu mam przed oczami linię sortowniczą i ogrom odpadów, które są na niej przetwarzane. Mam świadomość, że te opakowania zamienią się w kolejne odpady. Dlatego np. nie sięgam już po foliowe torebki mówiąc sobie - nie będę się dokładała do tej produkcji. Wybieram siatki wielorazowego użytku. Myślę, że trzeba z tym konfrontować nasze społeczeństwo a szczególnie dzieci. Pokazywać jak dużo jest tych odpadów i co można z nimi zrobić. Uświadomić im, że każdy z nich ma w tym swój udział. Niestety często o wszystkim decydują pieniądze i firmy produkują jak najwięcej i jak najtaniej a powstające w ten sposób odpady wyniszczają nas, zwierzęta, cały ekosystem.

Miała Pani obawę przed pracą w zakładzie, który przetwarza odpady?

Na to co robi się z odpadami w takich firmach jak EKOPAK zawsze patrzyłam bardzo

pozytywnie. To miejsce, gdzie daje się im drugie życie. W przeciwnym wypadku utonęlibyśmy w śmieciach. Myślę, że dobrze rozumieją to ludzie młodzi. Mam 14-letniego syna, który w szkole styka się z zajęciami, konkursami ekologicznymi. Ma dostęp do informacji. Niestety potem często w dorosłym wieku przychodzi takie lekkie myślenie, którego przykładem jest choćby nagminne wyrzucanie niedopałków po spalonym papierosie przez okno samochodu. Często też z dorosłymi wygrywa lenistwo. A jak patrzą na tę pracę inni? Czasami, gdy mówię, gdzie pracuję pojawia się taki uśmieszek. Najwidoczniej te osoby nie rozumieją na czym ta praca polega i tego jak jest potrzebna. Każdy z nas jest niezbędnym trybikiem w maszynie świata. Życie ukształtowało mnie w ten sposób, że mam szacunek do każdego, niezależnie od tego czy jest lekarzem, policjantem czy sortuje odpady. Każdy z nas zasługuje na takie samo traktowanie i szacunek.

FOTO: Redakcja



FOTO: Adobe Stock.

KULTURA JĘZYKA w pracy i na co dzień

MAŁGORZATA POŁOK

Każdy człowiek chce być szanowany w pracy niezależnie od tego, czy jest pracownikiem biurowym, czy fizycznym. Badania potwierdzają znaczenie uznawania wartości innych w środowisku pracy i poza nim. Pracownicy, którzy czują się szanowani zarówno przez pracodawców, współpracowników czy Klientów, osiągają lepsze wyniki i mają lepsze samopoczucie. Ci, którzy tego nie odczuwają, nie lubią swojej pracy, są sfrustrowani i częściej odchodzą.

Z brakiem szacunku pracownicy niestety spotykają się często ze strony swoich Klientów. To z czym na co dzień spotykają się pracownicy wielu grup zawodowych, którzy wykonują podstawowe zadania jest bardzo przykre i niezrozumiałe. Mowa tutaj o sprzedawcach, kasjerach,

sprzątaczkach, czy też pracownikach odpowiedzialnych za wywóz śmieci, którym obrywa się na przykład za blokowanie drogi podczas opróżniania pojemników. Słowa kierowane w ich kierunku są tutaj nie do powtórzenia. Pracownikom obrywa się za różne rzeczy, właściwie nawet za to, że są i wykonują swoją pracę.

Z czego wynika takie zachowanie? Ludzie nie panują nad swoimi emocjami, a kiedy im się poddają, łatwo wybuchają, puszczają im hamulce, dochodzi do wyzwisk, awantur, wyzywania się na innych. W takich sytuacjach ludzie często wylewają na innych swoje frustracje.

- Z jednej strony w przypadku tego typu zachowań może zadziałać - mówiąc w uproszczeniu - jeden z efektów dysonansu poznawczego.

Człowiek zachowuje się wobec kogoś w niewłaściwy sposób, następnie po to, by nie utracić przekonania o swojej wartości, inteligencji czy przyzwoitości, poniża tę osobę. Daje to wówczas „uzasadnienie”, że to ta właśnie osoba jest wszystkiemu winna i zasługuje na to, co ją spotkało. Agresor jest w porządku. Przyczyną takich drastycznych zachowań może być głęboko skrywane, czasem nieświadome, poczucie niskiej wartości, które prowadzi do prób dowartościowywania się kosztem innych - uważa psycholog i ekonomista z Katedry Psychologii i Socjologii Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego dr Waldemar Grzywacz. - Atakując, wyzywając, poniżając słabszych - w tym przypadku pracowników obsługujących klientów - chcą te deficyty zrekompensować - tłumaczy.

- Ludzie nie są świadomi swojej emocjonalności, nie potrafią nazwać tego, co się dzieje z nimi w sferze emocji, w sposobach przeżywania trudnych, stresujących sytuacji, ich przyczyn i konsekwencji, przez co dochodzi do destrukcyjnych zachowań i konfliktów w relacjach z otoczeniem - tłumaczy psycholog.

Nie bez winy są także niektórzy menadżerowie, którzy bez uzasadnionej przyczyny traktują szeregowych pracowników jak „niższy sort”, uwidaczniając niejako swoją wyższość i nie licząc się ze zdaniem swoich pracowników, bo przecież oni mniej wiedzą i mniej potrafią. To niedopuszczalne zachowania. Wielu menadżerów wie jednak, że to właśnie okazywanie wszystkim pracownikom szacunku i uznania buduje ich autorytet i dobre relacje w pracy.

Obrywa się nie tylko szeregowym pracownikom. Również kierownicy czy menadżerowie nie raz nasłuchają się, jacy to oni są - mówiąc delikatnie - niekompetentni. Czasem dzieje się to za ich plecami a czasem publicznie podważany jest ich autorytet, ignorowane polecenia, pojawiają się aroganckie a nawet agresywne zachowania.

Wspomniane wyżej przypadki dotyczą osób, o których często się mówi, że nie mają kultury, a ich język pozostawia wiele do życzenia. Kultura języka to według profesora Andrzeja Markowskiego „świadome i celowe posługiwanie się językiem we wszelkich sytuacjach komunikatywnych”. Język, według profesora, jest podstawowym sposobem komunikacji międzyludzkiej, narzędziem myślenia, a także poznawania świata. Za jego pomocą przekazujemy informacje,

wyrażamy emocje, uczucia czy oddziałujemy na innych. Język jest pośrednikiem między nami a światem zewnętrznym! Pozwala poznawać i interpretować rzeczywistość obecną, a także przeszłość.

Mowa to także nasza wizytówka. „Język jest dokładnym odzwierciedleniem charakteru i dojrzałości osób, które się nim posługują”: te słowa wypowiedział działacz społeczny Cesar Chavez.

Pamiętajmy więc, że język świadczy o nas w dużo większym stopniu niż byśmy się spodziewali. Mowa jest obrazem naszego sposobu myślenia, osobowości, temperamentu, a przede wszystkim kultury. Styl wypowiedzi świadczy o wnętrzu człowieka. Ludzie często postrzegają nas na podstawie sposobu mówienia. Język jest obrazem nas samych. Warto więc, aby ten obraz pozostawiał na innych ludziach dobre odczucia i wrażenia.



Małgorzata Połok

Dyplomowany coach oraz trener biznesu. Ukończyła Szkołę Trenerów IBD Business School oraz Szkołę Coachów Akademii SETT. Posiada tytuł MBA z zakresu zarządzania przedsiębiorstwem.

Posiada ponad 22 lata doświadczenia zawodowego, z czego ponad 10 lat w zakresie prowadzenia szkoleń, warsztatów rozwojowych i rekrutacji oraz 12 lat jako menadżer. Od ponad 2 lat prowadzi profesjonalne sesje coachingowe. Jest praktykiem w dziedzinie marketingu, PR i sprzedaży. Pełna pomysłów i otwarta na ludzi. Inspiruje i sama wciąż poszukuje inspiracji.

Prywatnie żona i mama trójki dzieci. Kocha ludzi, naturę i podróżowanie. Nieustannie wspiera innych w ich działaniach.

Uciec od zgiełku i rutyny



FOTO: Z archiwum Grzegorza Chwiłki.

O radości przemierzania bezdroży i poznawania świata zza kierownicy gravelowego roweru rozmawiamy z **Grzegorzem Chwiłką** dyrektorem ds. IT Grupy KOM-EKO.

Skąd pasja do roweru?

Pasja do roweru często rodzi się z wielu powodów. Dla wielu ludzi rower to symbol wolności i niezależności, pozwalający na eksplorację świata z perspektywy siedzenia w siodle. Inni zakochują się w rowerze ze względu na korzyści zdrowotne - jazda na rowerze poprawia kondycję fizyczną, umożliwiając jednocześnie relaks i odstresowanie. Dodatkowo, dla wielu entuzjastów, rower staje się sposobem na nawiązywanie nowych znajomości i bycie częścią społeczności. Nie można też zapomnieć o aspekcie ekologicznym - jazda na rowerze to ekologiczny środek transportu, który pozwala dbać o środowisko. Z rowerem zaprzyjaźniłem się jeszcze w czasach dzieciństwa, kiedy to z kolegami potrafiłem dziennie kręcić 100km. Słynąłem z ukręcania korb w rowerze, nawet tych przyspawanych na stałe, przez co wycieczki ze mną nie były nudne. Dziś rower jest dla mnie ucieczką od codziennego zgiełku i rutyny. Jest pewnego rodzaju potrzebą resetu głowy i potrzebą wolności, kiedy możemy dostosować trasę do naszych potrzeb i chęci. Rower daje poczucie autonomii. Nie jesteśmy uzależnieni od rozkładów jazdy, paliwa czy zatłoczonych środków komunikacji. Wybieramy trasę, tempo i miejsca, które chcemy odwiedzić. Ta niezależność daje wolność wyboru, pozwala dostrzegać detale i łączy nas z naturą oraz kulturą miejsc, które odwiedzamy.

Skąd pomysł na rower gravelowy?

„Gravel” nie bez powodu zawdzięcza swoją nazwę angielskiemu słowu oznaczającemu żwir.

Ten typ roweru pozwala nam zatracić się w terenie, gdzie asfalt kończy swój bieg, a prawdziwa przygoda rozpoczyna się tam, gdzie droga staje się mniej przewidywalna. W maju tego roku byłem uczestnikiem wyścigu - Mazowieckiego Gravelu. To nie była zwykła trasa. To były aż 255 km pełne wyzwań, pięknych krajobrazów i niezapomnianych wrażeń, ale też rywalizacja, którą każdy chciał zakończyć w jak najkrótszym czasie. Mnie cała trasa zajęła 15,5h, a licząc czas samej jazdy było to 12,5h, rekordziści kończyli poniżej 9h. Długość trasy sama w sobie była wyzwaniem, ale prawdziwa próba charakteru zaczynała się tam, gdzie pojawił się żwir, piasek czy błoto. Mazowsze, choć płaskie, potrafi zaskoczyć. Malownicze pola, zabytki, urokliwe wsie i lasy stanowiły tło dla tej niezwyklej trasy. Jazda na gravelu to nie tylko fizyczne wyzwanie. To także mentalna próba wytrwałości. W trakcie Mazowieckiego Gravelu miałem chwile zwątpienia, czy uda mi się dokończyć wyścig. Jednak właśnie w takich momentach odkrywałem prawdziwą pasję do tej dyscypliny. Kiedy ciało mówi „stop”, to właśnie serce i determinacja popychały mnie do przodu. Po przekroczeniu linii mety, uczucie spełnienia i dumy było nieopisane. Te 255 km były nie tylko dystansem pokonanym na rowerze, ale także podróżą w głąb siebie.

Jak długo się przygotowywałeś?

Przygotowania do tak długiej trasy są kluczowe dla komfortu, bezpieczeństwa i udanego przeżycia przygody. Dobra organizacja i planowanie pomagają uniknąć nieprzewidzianych





FOTO: Z archiwum Grzegorza Chwilki.



problemów, które mogą się pojawić w trakcie podróży. Należy zwrócić uwagę na stan techniczny roweru, upewnić się, że wszystkie elementy są sprawne i dobrze wyregulowane. Ważne jest również dobranie odpowiedniego ekwipunku, który chroni przed niekorzystnymi warunkami pogodowymi, a także pozwala na przetrwanie w sytuacjach awaryjnych. Już rok wcześniej opłaciłem start, więc przygotowania trwały w sumie przez cały rok. Począwszy od treningów, nie było ich za wiele, z uwagi na obowiązki rodzinne jak i zawodowe, ale udało się wykręcić kilkanaście odcinków po 50-80 km. Dziś już wiem, że było ich za mało, bo odczułem to podczas zmagania w samym wyścigu. Były oczywiście ćwiczenia siłowe, które realizowałem praktycznie raz w tygodniu, tak by kondycyjnie dać radę, więc tutaj wypadam wzorowo. Sporo czasu zajęło też wyposażenie roweru w niezbędne elementy, zaczynając od doboru sakw, po części zapasowe skończywszy na ubraniach, które doбираłem w zasadzie na dzień przed wyścigiem. Organizatorzy i sama społeczność blisko 500 zawodników, zapewniła już nam spis punktów, gdzie będzie woda, jedzenie czy lista sklepów z godzinami ich otwarcia, tak by ich nie szukać w Google Maps podczas jazdy.

Czy coś Cię zaskoczyło na trasie?

Na pewno społeczność, masę rozmów z dopiero co poznanymi ludźmi, jazda w szybkim tempie w dużej grupie, gdzie mimo braku wspólnych jazd i znajomości, ufaliśmy sobie, jeżdżąc

na tzw. ogonie, koło na kole. Pomoc, którą mogłem doświadczyć od uczestników. Mieszkańcy, którzy sami z siebie organizowali punkty z wodą czy jedzeniem, okrzykami wsparcia, niby nic nadzwyczajnego, ale kiedy doświadczasz tego w chwili dużego wysiłku, takie wsparcie daje ci dodatkowego „powera”. Sama trasa oczywiście zaskakiwała, przeprawa przez rzekę z rowerem na ramieniu, przejazdy lasami przez ścieżki, którymi dawno nikt nie jeździł. Tony piachu na trasie, który utrudnia ci przejazd, bo masz wrażenie, że stoisz w miejscu. Wejście na wiadukt schodami po blisko 200km, jakby było ci to potrzebne do szczęścia, w końcu trasę miałeś zrobić rowerem, a nie schodami z rowerem na plecach, kiedy rower z całym ekwipunkiem waży blisko 20kg.

Jakie masz plany na przyszłość?

Mazowiecki Gravel był dla mnie nie tylko sportowym wyzwaniem, ale także lekcją o sile charakteru, wsparciu innych i pięknie odkrywania nieznanymi zakątkami naszej ojczyzny. I choć zmęczenie było ogromne, już teraz wiem, że w przyszłym roku znów stanę na starcie, by ponownie przeżyć tę niezwykłą przygodę. Zapisy już 22 września. Najbliższe wyzwanie to zielona siódemka tj. Trasa Warszawa - Gdańsk. Trasa mocno gravelowa, blisko 400 km, które chcemy podzielić na 2 odcinki. Wypad planowany pod koniec września tego roku, do którego właśnie się przygotowuje. Po głowie ciągle chodzi trasa



bałtycka zwana EuroVelo10, fajnie byłoby zebrać grupę osób w naszej grupie tj. „Kom-Eko Team” i wspólnie ją pokonać, wierzę, że znajdą się chętni i w przyszłym roku uda się ten cel zrealizować w gronie współpracowników. Na pewno nie odpuścę sobie tej trasy.

Ciała obce w głębi Ziemi?

Posługując się techniką tomografii sejsmicznej (bazującej na zmianach w rozchodzeniu się fal sejsmicznych w obszarach o różnej gęstości) naukowcy zidentyfikowali we wnętrzu Ziemi dwie nieznane struktury w płaszczu ziemskim, które mogą stanowić od 3 do 9% całkowitej objętości planety. Nie wiadomo czym mogą być te obszary wyróżniające się inną gęstością niż otoczenie i w jaki sposób powstały. Zidentyfikowano je pod Afryką oraz pod Oceanem Spokojnym w najniższej części płaszczka ziemskiego, który bezpośrednio przylega do jądra zewnętrznego naszej planety na głębokości blisko 3 tys. km. To zbyt głęboko, by je zbadać. Najgłębszy otwór, jaki kiedykolwiek wykonano to tzw. Supergłęboki Odwiert Kolski, który sięga na 11 034 metry poniżej poziomu morza, a łączna długość odwiertu to 12 262 metry. Istnieje teoria, że owe obszary w głębi Ziemi to skumulowane kolejne warstwy skorupy oceanicznej lub fragmenty Thea – hipotetycznej planety wielkości Marsa, która 4,5 miliarda lat temu mogła uderzyć w Ziemię a jej odłamki dały początek Księżycowi.

Źródło: www.iflscience.com



Energia elektryczna ze ścieków

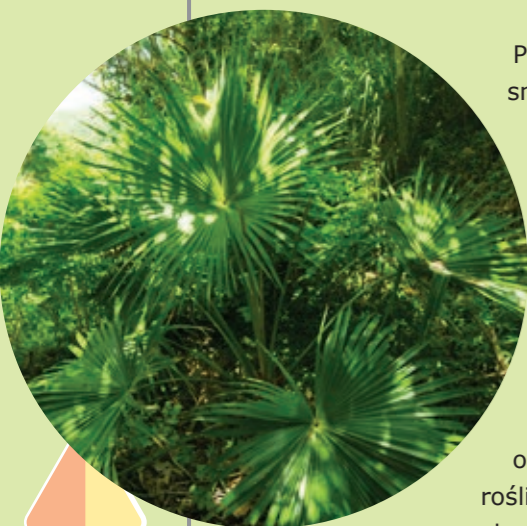
Od momentu, kiedy brytyjski mykolog Michael Cressé Potter odkrył w 1911 r., że drożdże piwne wytwarzają energię elektryczną w procesie zwanym zewnątrzkomórkowym łańcuchem przenoszenia elektronów, naukowcy próbują wykorzystać to zjawisko na skale przemysłowej. Niestety jak dotąd ich wydajność była zbyt niska, by znaleźć dla nich praktyczne zastosowanie. W sierpniu tego roku zespół naukowców z Politechniki Federalnej w Lozannie poinformował, iż udało się im zmodyfikować jeden z najpowszechniejszych gatunków drobnoustrojów, bakterię *Escherichia coli*, znaczenie zwiększając jej zdolność do wytwarzania energii elektrycznej z odpadów płynnych pochodzących z browaru. By osiągnąć efekt uczeni zmienili jej genom, dodając instrukcje wytwarzania pewnych kompleksów białkowych występujących w najbardziej znanej bakterii generującej energię elektryczną *Shewanella oneidensis*. Jak zauważył prof. Ardemis Boghossian „Chociaż istnieją egzotyczne drobnoustroje, które w naturalny sposób wytwarzają energię elektryczną, mogą to robić jedynie w obecności określonych substancji chemicznych. Nasza *E. coli* może rozwijać się na wielu różnych substancjach, co pozwoliło nam wytwarzać energię elektryczną w różnorodnych środowiskach, w tym w ściekach.” Naukowcy liczą, że ich odkrycie pomoże zrewolucjonizować zarówno gospodarkę odpadami, jak i produkcję energii poprzez wykorzystanie w mikrobiologicznych ogniwach paliwowych, elektrosyntezie i biosensorach.

Źródło: www.dzienniknaukowy.pl

Podziemna palma

Pinanga subterranea to nowoodkryty przez naukowców gatunek palmy rosnącej na Borneo, która kwitnie i owocuje pod ziemią. Roślina odnaleziona na granicy Malezji i Indonezji doskonale znana był mieszkańcom wyspy, natomiast pozostawała niezauważona przez świat nauki. Zarówno owoce, jak i kwiaty *Pinanga subterranea* pojawiają się w większości ukryte pod ziemią co wśród palm jest ewenementem. Większość roślin w toku ewolucji rozwinęła kwiaty i owoce nad ziemią, aby ułatwić zapylanie i rozsiewanie nasion. Istnieją też rośliny geokarpiczne jak orzeszki ziemne, które co prawda kwitną nad ziemią, ale ich owoce pojawiają się już pod jej powierzchnią. Gatunki takie jak palma z Borneo są rzadkością. W świecie roślin zidentyfikowano ich tylko 171 gatunków. Uważa się, że podziemne owocowanie pomaga utrzymać korzystne mikrośrodowisko dla potomstwa roślin i zapewnić ochronę przed gorącem i roślinożernością, ale sposób w jaki są zapylane pozostaje zagadką.

Źródło: www.dzienniknaukowy.pl



Produkcja tlenu na Marsie

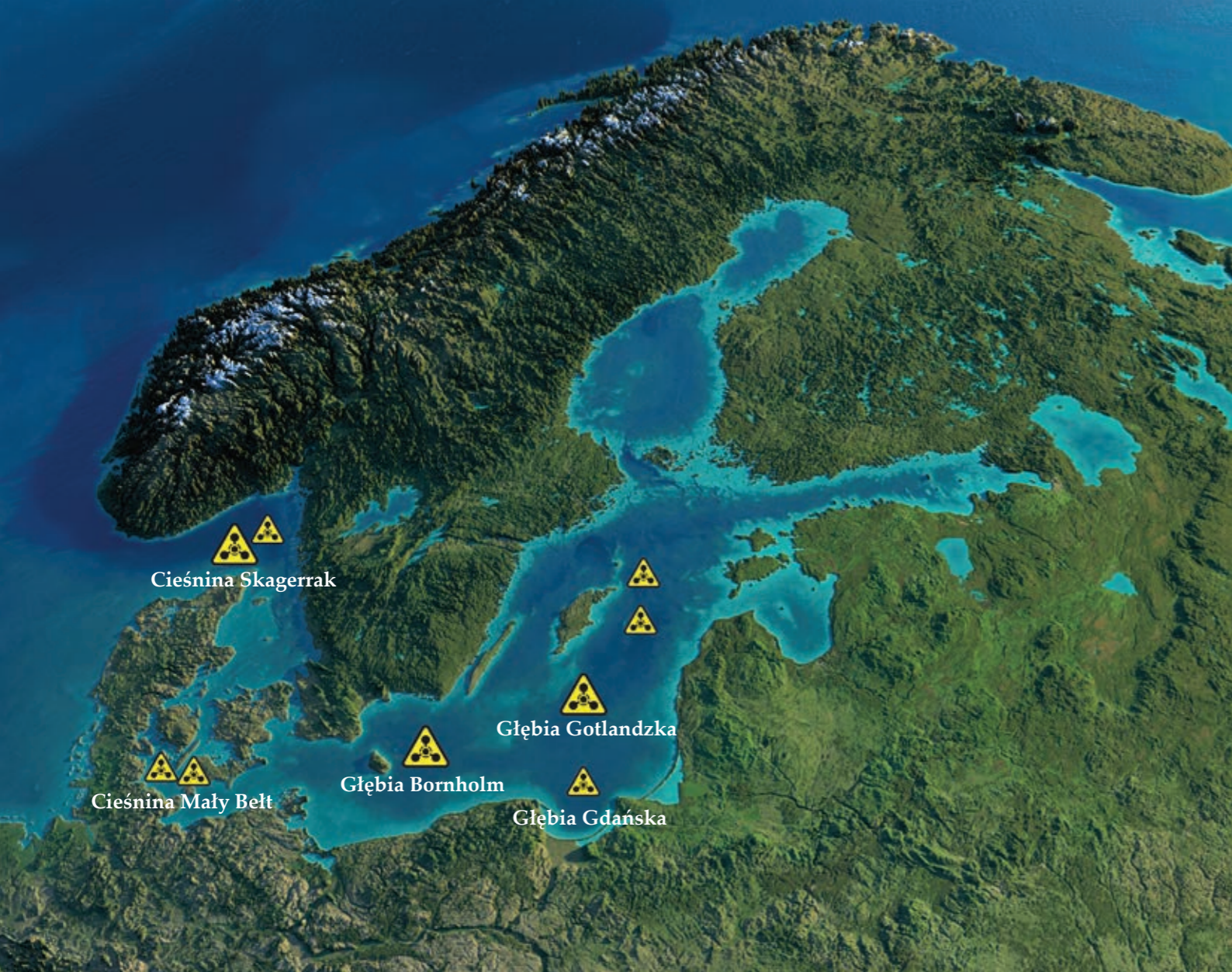
Naukowcy z NASA poinformowali o powodzeniu projektu MOXIE, który był pierwszą w historii demonstracją technologii, dzięki której ludzie mogliby przetrwać na Czerwonej Planecie i ją opuścić. Urządzenie o nazwie MOXIE (Mars Oxygen In-Situ Resource Utilization Experiment) zostało wraz z łazikiem Perseverance na Marsie w celu wygenerowania tlenu z atmosfery czerwonej planety. Instrument okazał się skuteczniejszy od tego co oczekiwali od niego twórcy. MOXIE wytworzył na Marsie 122 gramy tlenu, wystarczająco by przeżyć 3,5 godziny. Pracując z najwyższą wydajnością produkował 12 gramów tlenu na godzinę o czystości powyżej 98%.

MOXIE zasysa marsjańskie powietrze w blisko 96% składające się z dwutlenku węgla i jedynie 0,13% tlenu. Po przefiltrowaniu zanieczyszczeń rozdziela je w procesach elektrochemicznych na jony tlenu oraz tlenek węgla. Następnie jony tlenu są izolowane i rekombinowane w celu wytworzenia tlenu cząsteczkowego.

Źródło: www.nasa.gov



FOTO: Adobe Stock.



Broń chemiczna w głębinach Bałtyku

ADAM PRYZSTUPA

Bałtyk uważany jest za jedno z najbardziej zanieczyszczonych mórz na świecie. Fakt, iż jest akwenem śródlądowym, który jedynie za pośrednictwem Morza Północnego przez wąskie Cieśniny Duńskie łączy się z Oceanem Atlantyckim sprawia, iż wymiana wód następuje w nim bardzo powoli. W konsekwencji jest szczególnie narażony na trwałe zanieczyszczenia. Na obszarze zlewiska Morza Bałtyckiego leży 9 wysoko rozwiniętych rolniczo i uprzemysłowionych państw, których mieszkańcami jest 80 milionów osób. Są oni wytwórcami ogromnej ilości zanieczyszczeń, które w postaci ścieków, spływu rzecznoego lub drogą powietrzną trafiają do morza. W efekcie

w wodach Bałtyku stwierdzono niebezpieczne stężenie detergentów i pestycydów, nadmierną koncentrację fosforu i azotu, związków ołowiu. Naukowcy alarmują, iż wytworzyły się w nim największe (o pow. 60 tys. km²) na świecie tzw. strefy śmierci, czyli miejsca, gdzie w następstwie procesu eutrofizacji tj. przeżyźnienia woda pozbawiona jest tlenu i niemożliwe jest tam jakiegokolwiek życie. Niemniej najpoważniejszym zagrożeniem dla wód Bałtyku wydaje się dziś skażenie ich związkami chemicznymi z zatopionych arsenałów broni.

Na masową skalę gazy bojowe wykorzystywano podczas I wojny światowej powodując

śmierć około 100 tys. ludzi. Mimo, iż Traktat Waszyngtoński z 1922 r. zakazywał użycia „gazów duszących, trujących lub podobnych oraz wszelkich podobnych cieczy, materiałów lub urządzeń” udokumentowano ich wykorzystanie przez Francuzów i Hiszpanów w Maroku, Japończyków w Chinach, Włochów w Etiopii oraz bolszewików podczas tłumienia chłopskiego powstania w guberni tambowskiej. W czasie II wojny światowej choć obie strony dysponowały bronią chemiczną żadna na szczęście z obawy przed odwetem nie zdecydowała się na jej użycie. Niemniej po jej zakończeniu pojawiła się konieczność unieszkodliwienia zapasów broni chemicznej przechowywanej na ternie pokonanych Niemiec. Ich ilość szacowano na około 300 tys. ton amunicji. Wobec braku innych możliwości technicznej wybrano metodę polegającą na jej zatopieniu w morskich głębinach. Była szybka, nie wymagała dużych nakładów finansowych, dawała także pewność, że broń ta nie zostanie wydobyta i wykorzystana.

Zatopienie nadzorowały władze trzech stref okupacyjnych w Niemczech: Brytyjczycy i Amerykanie w cieśninie Skagerrak (co najmniej 150 tys. ton bojowych środków trujących (BST)) i Morzu Północnym, a Rosjanie w Morzu Bałtyckim. W ramach tej akcji na terenie Bałtyku znane są trzy oficjalne miejsca zrzutu: Mały Belt, Głębia Bornholmska (na wschód od Bornholmu) oraz południowo-zachodnia część Głębi Gotlandzkiej. Na obszarze Skagerraku i Małego Beltu amunicję chemiczną zatapiano w ładowniach starych statków, podczas gdy w pozostałych miejscach wyrzucano ją za burtę statku w kontenerach i skrzyniach. Prowadzone dziś badania wskazują, że operacje zatapiania w Głębi Bornholmskiej prowadzono częstokroć już w drodze do miejsca przeznaczenia. Rosyjskie okręty nie zawsze docierały na planowane miejsce zrzutu i pozbywały się ładunku po drodze. Część amunicji wyrzucana za burtę w drewnianych skrzyniach dryfowała na znaczne odległości, stąd dzisiejsze mapy, wskazujące miejsca zalegania broni chemicznej na dnie, pokazują tylko orientacyjne miejsca ich zrzutu.

Historycznie pierwszym miejscem zrzutu była na Bałtyku południowa część Basenu

Gotlandzkiego, położona na południowy wschód od Gotlandii i południowego zachodu od Liepāja. Od maja do września 1947 r. z pokładów statków „Elbing IV” i „Elbing VIII” wyrzucono za burtę 2 000 ton amunicji (około 1 000 ton BST) dostarczonej z portu ładunkowego w Wolgast. Zaległa on na głębokości od 93 do 137 m. W zatopionych pojemnikach i pociskach znajdował się iperyt siarkowy, olej arsenowy, adamsyt, α-chloroacetofenon i prawdopodobnie środek paraliżująco-drgawkowy tabun. Prowadzone dziś badania w ramach projektu CHEMSEA wskazują, iż są to ilości mocno niedoszacowane.

Największym miejscem zrzutu na Morzu Bałtyckim jest Głębia Bornholmska. Wybrano ją w sierpniu 1947 r. ze względu na bliższe położenie od portów ładunkowych. Między sierpniem 1947 r. a styczniem 1948 r. zatopiono tu około 32 000 ton amunicji, która zawierała około 11 000 ton BST. Na pokładach statków („Brake”, „Odermünde”, „Christian”, „Jupiter”, „Venus”, „Rhein”, „Elbing IV”, „Elbing VIII”) przewożono m.in. sarin, soman, tabun, iperyt, adamsyt. Druga tura zrzutów w okolicach Bornholmu miała miejsce w latach 1959-1965 i była konsekwencją odkrycia na terenie NRD nie zinwentaryzowanych wcześniej zapasów broni chemicznej (iperyt siarkowy, fosgen, adamsyt). Szacuje się, że z portów Wolgast, Peenemünde i Karlshagen wyeksportowano i zrzucano wówczas do morza 60-200 ton amunicji.

Czwartym nieewidencjonowanym oficjalnie miejscem, gdzie Rosjanie zatapiali bojowe środki trujące okazała się Głębia Gdańska. Jest to prawdopodobnie niewielkie składowisko zawierające kilka ton amunicji chemicznej zatopionej razem z około 60 tonami amunicji konwencjonalnej. Informacje o tym podwodnym wysypisku zaczęły pojawiać się w czerwcu 1954 r., kiedy rybacy wyłowili bombę wypełnioną iperytem siarkowym. Trzy miesiące później na takie samo znalezisko natrafiono na Półwyspie Helskim.

Broń chemiczna spoczywająca na dnie Bałtyku miała, wedle ówczesnych pomysłodawców tego sposobu jej utylizacji, nie stanowić zagrożenia dla otoczenia. Większość tych środków to substancje trudno lub nawet wcale



FOTO: Adobe Stock.

nierozpuszczalne w wodzie. Niska temperatura Morza Bałtyckiego sprawia, że większość bojowych środków trujących została się co znacząco ogranicza ich rozprzestrzenianie. Niemniej upływ czasu i związana z nim postępująca degradacja pojemników, w jakich część z nich została zrzucona do wody, intensyfikuje związane z nimi ryzyko. Od czasu znalezienia w 1954 r. iperytu w Jastarni, w polskiej strefie przybrzeżnej, odnotowano ponoć około 30 przypadków znalezienia amunicji chemicznej. Najpoważniejszy miał miejsce latem 1955 r. w Darłównu, gdzie wyrzucona na brzeg beczka z wyciekającym iperytem była przyczyną poparzeń 102 dzieci, z których czworo straciło wzrok. Podobne wypadki zdarzały się w Niemczech, Danii i Szwecji. W 1990 r. zatruciu i poparzeniu uległo kilkanaście osób na plaży w okolicach Królewca, które znalezione bryłki zestalonego iperytu wzięto za bursztyn. Zważywszy na znaczą odległość Królewca od znanych miejsc zrzutu widać, iż ryzyko przeniesienia uwalniających się odpadów przez prądy morskie jest coraz większe. Jest to rzecz jasna nie tylko ryzyko związane z bezpośrednim kontaktem ludzi z tymi substancjami, ale również niebezpieczeństwo wyrządzenia nieodwracalnych szkód w środowisku.

Koncentrując się w tej opowieści na bliskim nam basenie Morza Bałtyckiego trzeba jednak zauważyć, że nie jest to tylko problem tego akwenu. Do czasu podpisania w 1972 r. „Konwencji o zapobieganiu zanieczyszczeniu mórz przez zatopianie odpadów i innych substancji” kraje posiadające nieprzydatną broń chemiczną (m.in. USA, Rosja, Wielka Brytania, Francja czy Japonia) pozbywały się jej w ten sam sposób. Ocenia się, iż w morzach i oceanach całego świata zatopiono ponad milion ton amunicji chemicznej. Problem jest więc poważny.

Przez lata temat broni chemicznej składowanej w głębinach Bałtyku był tematem tabu. W roku 1993 po spektakularnym wyłowieniu 180-kilogramowej bomby chemicznej w Dueodde na Bornholmie postanowiono działać. Komisja Helsińska, której zadaniem jest monitorowanie oraz ochrona środowiska naturalnego Morza Bałtyckiego. Powołała specjalną Grupę Roboczą ds. Zatopionej Amunicji Chemicznej – HELCOM CHEMU. Jej głównym zadaniem było przygotowanie raportu na temat miejsc zatopienia broni chemicznej oraz jej wpływu na środowisko

morskie. Został on przedstawiony w 1995 r. Przygotowano także szczegółowe instrukcje dla rybaków, zawierające opis sposobu postępowania w przypadku wyłowienia BST, zalecane wyposażenie apteczek oraz sposób przekazywania informacji o incydentach stosownym organom. W toku prac Grupy ustalono m.in., że środki bojowe nie powodują poważnego ryzyka dla środowiska, dlatego też nie powinno się podejmować prac związanych z ich wydobyciem i niszczeniem na lądzie. W kolejnych latach prace kontynuowano w dwóch kolejnych grupach eksperckich HELCOM MUNI i HELCOM SUBMERGED.

Niestety na początku trzeciej dekady XXI wieku mimo pracy tych gremiów stan naszej wiedzy o broni chemicznej na dnie Morza Bałtyckiego wciąż jest niezadawalający. Zgromadzone informacje wciąż nie pozwalają na dokładne określenie łącznej ilości, rodzajów ani lokalizacji zatopionej amunicji. Wśród ekspertów nie ma też zgody, co do dalszego z nią postępowania. Podnoszą się głosy, iż wnioski o konieczności pozostawienia jej na dnie morza stawiane w oparciu o technologie badawcze, wydobywcze i utylizacyjne stosowane w latach osiemdziesiątych XX stulecia dziś nie są już tak jednoznaczne. Działania związane z wydobyciem i utylizacją tego rodzaju odpadów, choć kosztowne podejmują Stany Zjednoczone, Włochy, Australia oraz Japonia. Wśród proponowanych rozwiązań wskazuje się metody chemiczne, fizykochemiczne (piroliza w wysokotemperaturowych piecach plazmowych) lub też pozostawienie opadów na dnie morskim, ale pokrycie miejsc ich składowania pokrywą z betonu lub tworzyw sztucznych.

Jak wskazują eksperci za rozpoczęciem prac związanych z aktywnym oczyszczaniem i zabezpieczeniem dna Bałtyku przemawia fakt, iż akwen ten jest coraz intensywniej wykorzystywany gospodarczo w ramach projektów wydobywczych czy też związanych z układaniem nowych linii gazociągów i budową farm wiatrowych. Wszystkie te projekty wiążą się z koniecznością ingerencji w dno morskie, to zaś rodzi ryzyko kolizji z zalegającą na nim bronią chemiczną. Jej uwolnienie to jak już wspomniano poważne ryzyko dodatkowego skażenia środowiska w obszarze, którego zdolność do samooczyszczania już dziś jest bardzo niska.

RZECZY POMIESZANIE

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących,
ale zawsze prawdziwych...

22 listopada 1950 roku w najsłynniejszej zawodowej lidze koszykówki NBA padł najniższy wynik w historii. W obecności 7 tys. widzów drużyna Detroit Pistons pokonała zespół Minneapolis Lakers w stosunku... 19:18. Liderem gospodarzy, którzy zastosowali strategię jak najdłuższego utrzymywania się przy piłce był John Oldham zdobywca 5 pkt. Wśród gości przewodził Vern Mikkelsen z 6 pkt. W 1983 roku koszykarze z Detroit ponownie wpisali się na karty historii uczestnicząc w meczu, w którym zdobyto największą ilość punktów w historii. Zwyciężyli i tym razem – 186:184 z Denver Nuggets.

Czym jest trytytka? To opaska zaciskowa, którą, gdy założymy nie sposób rozpiąć a jedynie zacisnąć coraz mocniejszą pętlę. Począwszy od 1958 r. wykonane z metalu usprawniały proces montażu okablowania samolotów. Z czasem metal zastąpiono nylonem co upowszechniło ich zastosowanie. Pierwsze opaski wyprodukowane w firmie Thomas & Betts sprzedawano pod marką Ty-Rap. Skąd więc popularna w Polsce obiegowa nazwa opasek? Wszystko za sprawą firmy Trytyt, która jako pierwsza w latach 90-tych sprowadziła je do naszego kraju. To ona nazwała opaskę trytytką z uwagi na charakterystyczny dźwięk wydawany w czasie jej zaciskania. W ten sposób chciano odróżnić ją od popularnych wcześniej opasek kablowych.

„Hole in one” to osiągnięcie polegające na umieszczeniu przez golfistę piłeczki w dołku za sprawą jednego celnego uderzenia. To widowiskowe, ale rzadkie wydarzenie, które wymaga niezwykłego połączenia umiejętności i szczęścia. Najczęściej zdarza się na dołkach oznaczonych jako par 3, czyli tych na których doświadczony golfista, by wbić piłkę do dołka potrzebuje trzech uderzeń na dystansie odległości nie większej niż 200 m. Niemniej w ostatnich dwóch latach pięciokrotnie odnotowano „hole in one” na dołkach 5 par, czyli na imponujących odległościach rzędu 400-600 m. Jeśli wierzyć statystykom co roku „Hole in one” osiąga 1-2% golfistów. Najczęściej, rzecz jasna, zdarza się to, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Klasyczna szerokość torów kolejowych to 1435 mm (wedle angielskiej miary: 4 stopy i 8,5 cala). Ustanowił ją George Stephenson, brytyjski inżynier, który jako pierwszy zaprojektował współczesną lokomotywę parową. Dlaczego akurat tyle? Podobno, to miara rozstawu kół antycznej rzymskiej kwadrygi, czterokonnej dwukółki używanej podczas wyścigów i tryumfalnych pochodów.

W niezauważony dla wielu osób sposób w 2015 r. zmianie uległy polskie zwyczajowe nazwy niektórych zwierząt. Dotąd metody klasyfikacji zwierząt i roślin częstokroć opierały się na ich podobieństwie fenotypowym (wygląd, morfologia, zachowanie), dziś coraz częściej przeważa pokrewieństwo genetyczno-ewolucyjne. I tak m.in. foka szara to dzisiaj szarytka morska, foka obrączkowana to nerpa obrączkowana, wilk grzywiasty zamienił się w pampasowca grzywiastego a hienę cętkowaną przemianowano na krokutę cętkowaną. Wedle naukowców w niepamięć winna odejść też świnka morska, nazwana przez nich kawią domową.





Chcę mówić o tym, co jest ważne

O tym jak językiem sztuki opowiedzieć o wyobcowaniu współczesnego człowieka, jego skażeniu technologią i powierzchownością społeczeństw skoncentrowanych na gromadzeniu dóbr rozmawiamy z uznanym włoskim rzeźbiarzem **Dario Tironim**.

AGNIESZKA STAWINOĞA

Dlaczego traktujesz odpady jako materiał do swojej pracy? Czy jest to celowa forma recyklingu?

Od czasu mojej pracy dyplomowej postanowiłem skoncentrować swoje badania artystyczne na tematach związanych ze środowiskiem, takich jak konsumpcjonizm, zanieczyszczenie i wyobcowanie człowieka ze środowiska naturalnego, ponieważ chciałem mówić o czymś, co jest ważne w dzisiejszych czasach i co może być postrzegane uniwersalnie, w rzeczywistości środowisko jest czymś wspólnym dla każdego człowieka, niezależnie od innych rzeczy. Tak więc, w jednym z moich projektów zacząłem używać różnych przedmiotów codziennego użytku, aby odtworzyć rodzaj antropologicznego portretu społeczeństwa konsumpcyjnego. Moja praca jest mylnie kojarzona z recyklingiem, ponieważ recykling implikuje cykliczny charakter materiałów, które firmy wytwarzają poprzez topienie i ponowne drukowanie plastikowych, szklanych lub metalowych przedmiotów. Zamiast tego, w mojej twórczości artystycznej, ja zabieram te elementy z recyklingu, aby skryształizować je w pracy, która pozostanie niezmienną w czasie, tak więc za 50 lat będzie interesujące zobaczyć wszystkie te przedmioty należące do innej epoki.

W swoich pracach często łączysz nowoczesne materiały i techniki (kolaż) z przedstawieniem klasycznych postaci ludzkich, które nawiązują do posągów stworzonych w starożytności. Co chcesz przez to przekazać?

Tak, w niektórych pracach wyraźnie odnoszę się do klasycznej rzeźby. To dla mnie stanowi połączenie z przeszłością, zarówno jako kontrast między szlachetnymi materiałami, które były kiedyś używane w rzeźbie, takimi jak kamień i brąz, które są hipotetycznie wieczne, a przedmiotami związanymi z konsumpcjonizmem, które zamiast tego są tworzone na krótki okres czasu, dzięki planowanemu starzeniu się, które pozwala systemowi gospodarczemu opartemu na kapitalizmie i konsumpcjonizmie nadal istnieć i zapewniać ciągłą produkcję towarów i odpadów oraz tworzenie nowych potrzeb poprzez reklamę.

W pracy „Man in the plastic era 2015” bohater składa się w całości z plastikowych przedmiotów. Czy jest to refleksja nad utratą duchowości i nadmiernym przywiązaniem do rzeczy?

Składając te postaci w rodzaj trójwymiarowej mozaiki, moim zamiarem jest skłonienie ludzi do refleksji nad materializmem i powierzchownością

dzisiejszego społeczeństwa opartego na gromadzeniu dóbr, na posiadaniu, a nie na byciu, oraz na ostentacji niektórych produktów, które służą jako symbole statusu, zwłaszcza produktów związanych z technologią.

W „Contaminated head 2020” odnosisz się do postaci Ateny, którą najczęściej rozpoznajemy jako boginię mądrości. Jeśli ta głowa jest symbolicznie zanieczyszczona, czy oznacza to zwątpienie w zdrowy rozsądek współczesnego człowieka?

Dokładnie, Atena była również boginią sztuki w ogóle, a wypełniając te prace zanieczyszczającymi elementami, odnoszę się do zepsucia cech, darów i zasad, które leżą u podstaw istot ludzkich. Co więcej, przezroczysta żywica, z której jest wykonana, jest odniesieniem do środowiska wodnego, które ponosi konsekwencje działalności człowieka, tracąc swoją pierwotną czystość, a tym samym stając się zanieczyszczonym i niebezpiecznym dla wszystkich form życia innych niż człowiek.

Imponująca jest również praca „Dormienti 2019”, w której klasyczna rzeźba ludzkiej głowy złożona jest na posłaniu z telefonów komórkowych. Co chciałś przez to powiedzieć? Czy nie uważasz, że telefon komórkowy, choć jest użytecznym narzędziem, jest symbolem naszego zniewolenia technologią i współczesnym konsumpcjonizmem?

Ta praca wyraźnie do tego nawiązuje. Smartfon jest bez wątpienia najważniejszym przedmiotem we współczesnym społeczeństwie, ponieważ oprócz gwarantowania naszej łączności z innymi, staje się powiernikiem wszystkich naszych danych wrażliwych, informacji, zdjęć itp. i poprzez powierzchowność mediów społecznościowych my rekonstruujemy naszą tożsamość, w sposób, który jest również dość fałszywy. Pokrowiec ma zatem znaczenie, ponieważ służy do ochrony tego obiektu, który wydaje się teraz niezbędny. Klasyczna głowa nawiązuje do początków zachodniej myśli, która doprowadziła do tego wszystkiego, leży pośrodku pokrowców, jakby były one materiałem opakowaniowym chroniącym ją podczas podróży. Z kolei tytuł „Dormienti” podkreśla fakt, że kiedy jesteśmy podłączeni i korzystamy z urządzeń cyfrowych, znajdujemy się w swego rodzaju katharsis, zaostoj, izolacji od tu i teraz, od prawdziwego życia

i naszego otoczenia. Jeszcze 15 lat temu szokujące byłoby wyobrażenie sobie, że w niedalekiej przyszłości będziemy spędzać kilka godzin dziennie wpatrując się w ekran i opierając nasze doświadczenia i relacje na tym, co dzieje się online.

Z twojego doświadczenia, jak publiczność odbiera prezentowane przez ciebie prace?

Muszę powiedzieć, że generalnie moje prace są łatwo rozumiane przez publiczność, nawet jeśli za pozorną żartobliwość kryją one niepokojący i tragiczny aspekt ludzkiego doświadczenia, a mianowicie nasza niezdolność do życia w symbiozie z naszym środowiskiem, które zamiast chronić, tylko wykorzystujemy. Rzeźby te mają dwa różne poziomy wykorzystania, z jednej strony rozpoznawalność ludzkiej postaci, zbliżając się odkrywamy wszystkie szczegóły i przedmioty, z których są wykonane, a które łączą się naszą egzystencją: na przykład rozpoznając opakowanie napoju, który lubimy, zabawkę, którą mieliśmy jako dzieci, stary model telefonu, akcesorium lub gadżet, który mieliśmy w domu.

Dziękuję za rozmowę.

Dziękuję było mi bardzo miło.

Dario Tironi

Urodzony w 1980 r. w Bergamo włoski rzeźbiarz. W roku 2006 obronił z wyróżnieniem dyplom Akademii Sztuk Pięknych Brera w Mediolanie. Jego prace były wielokrotnie prezentowane na wystawach indywidualnych i zbiorowych na całym świecie. W swoich rzeźbach i instalacjach nawiązuje do klasycznych treści figuratywnych łącząc je z wykorzystaniem przedmiotów codziennego użytku by skłonić do refleksji nad zjawiskiem konsumpcjonizmu, materializmu i kondycją społeczną współczesnego człowieka.



FOTO: Z archiwum Artysty.



Gniewosz plamisty

W Polsce występuje pięć gatunków węży: zaskroniec zwyczajny, gniewosz plamisty, żmija zygzakowata, zaskroniec rybołów oraz wąż Eskulapa. Spośród wszystkich wymienionych gatunków tylko trzy pierwsze można zaobserwować na Lubelszczyźnie. W niniejszym artykule zaprezentuję krótką charakterystykę biologii gniewosza plamistego. Nazwa gniewosz pochodzi od gwałtownej reakcji obronnej. Po schwytaniu przez człowieka (lub w okresie godowym, kiedy jest bardzo pobudzony) jest on bardzo waleczny i potrafi odważnie kąsać przeciwnika, ale nie jest jadowity (z krajowych gatunków tylko żmija zygzakowata produkuje jad). Długość jego ciała nie przekracza zazwyczaj 40 cm (samce) lub 90 cm (samice). Przeciętna masa ciała wynosi od 25 g do 125 g (w zależności od wieku i płci). Każdy gniewosz plamisty ma indywidualny wzór plam

w okolicy głowy, który pozwala na indywidualne rozpoznawanie. Bardzo zmienny jest również układ, wielkość i kształt ciemnych plam na wierzchu ciała. Czasami może on wręcz przypominać zygzak żmii zygzakowatej. Istnieje kilka odmian barwnych gniewosza plamistego: brązowa, szara i czarna. Ogon u samców jest dłuższy, niż u samic. Ponadto jest bardziej nabrzmiały u nasady ze względu na obecność parzystych narządów kopulacyjnych.

Gniewosz plamisty to skryty i delikatny wąż, który zasiedla rozległy obszar obejmujący Europę i zachodnią część Azji. Występuje bardzo nielicznie i w dużym rozproszeniu w całej Polsce. Wielkość populacji jest nieznana, ale liczy co najmniej kilka tysięcy osobników. Najwięcej stanowisk znajduje się na zachodzie i południu kraju. Ostatnie badania genetyczne krajowej

populacji gniewosza plamistego wykazały duże różnice pomiędzy populacją z zachodniej i z południowo-wschodniej Polski. W okresie polodowcowym obszar Europy Środkowej został skolonizowany przez ten gatunek z dwóch refugium leżących w zachodniej i wschodniej części Europy. W naszym regionie można go spotkać przede wszystkim na południu Lubelszczyzny. Lokalnie liczniejsze populacje występują w Puszczy Solskiej i na Roztoczu. Istnieją też pewne doniesienia o stanowiskach lęgowych gniewosza plamistego z okolic Poleskiego Parku Narodowego. Poszukiwania tego skrytego gatunku najlepiej rozpocząć po wybudzeniu gadów ze snu zimowego w kwietniu i w maju.

Podobnie jak inne gady gniewosz plamisty preferuje suche i silnie nasłonecznione siedliska, w tym zręby, polany leśne, nagrzane stoki wzgórz, murawy kserotermiczne z zaroślami, obrzeża lasów. Czasami można go spotkać w silnie przekształconych przez człowieka środowiskach, np. w obrębie nasypów kolejowych, opuszczonych budynków lub na poboczach dróg. Na Roztoczu najchętniej zasiedla nasłonecznione oraz suche bory sosnowe i tam istnieje największa szansa na odnalezienie tego pięknego i ginącego węża. Gniewosz plamisty prowadzi dzienny tryb życia. Jest bardzo ostrożny i potrafi bezszelstnie przemieszczać się w gęstej roślinności. Wielu badaczy opisuje, że paradoksalnie trudniej go zaobserwować w gorące dni, gdyż może wtedy częściej chować się w kryjówkach, a reakcje nagranych osobników są szybsze. Areał osobniczy gniewosza plamistego obejmuje powierzchnię od 0,5 do kilku hektarów.

Gniewosz plamisty jest płochliwy i prowadzi bardzo skryty tryb życia, spędzając większość czasu w różnorodnych kryjówkach położonych pod ziemią, w kłodach lub pod kamieniami. Poluje przede wszystkim na jaszczurki zwinki, jaszczurki żyworodne oraz młode padalce i młode zaskronce, mniej licznie w diecie spotykane są bezkręgowce lub małe ssaki. Atakuje ofiary i dusi, chwytając paszczą oraz zębami i oplatając swoim ciałem. Bardzo rzadko zdarzają się przypadki kanibalizmu. U gniewosza plamistego występuje narząd Jacobsona, który jest zmysłem



węchu (analizy chemicznej) u węży i obok wzroku stanowi podstawowe źródło informacji o otaczającym środowisku. Gniewosz plamisty jest gatunkiem jajożyworodnym. W okresie godów w maju samce odwiedzają wiele rewirów, poszukując receptywnych samic. W ciągu dnia para kopuluje wielokrotnie. Kopulacja trwa do 45 minut. W tym okresie samce nie tolerują rywali i mogą toczyć zacięte walki. Ciąża trwa do 120-150 dni. Liczba młodych wynosi od 4 do 19. Dojrzałość płciową osiągają w trzecim lub czwartym roku życia po osiągnięciu długości około 40 cm.

W najbliższych latach w związku z globalnym ociepleniem klimatu wzrost przeciętnych temperatur w naszych szerokościach geograficznych może być czynnikiem, który może sprzyjać rozwojowi lokalnych populacji gniewosza plamistego w Polsce. Jednak głównym powodem ustępowania tego gatunku z niektórych miejsc i regionów w naszym kraju jest degradacja, fragmentacja i kurczenie się płatów odpowiednich siedlisk. W dalszym ciągu poważnym zagrożeniem dla niego jest bezmyślne i bezlitosne tępienie węży przez ludzi, wynikające z panicznego lęku (tzw. ofidofobia) i niewiedzy. W Polsce wszystkie gatunki węży objęte są ochroną gatunkową i nie wolno ich celowo płoszyć, chwycić i zabijać. Pewnym zagrożeniem może być również sukcesja roślinności w obrębie miejsc rozrodu. Teoretycznie gniewosz plamisty jest gatunkiem objętym ochroną strefową. W praktyce bardzo trudno powołać taką strefę. Wielu właścicieli lub zarządców działek (włącznie z administracją Lasów Państwowych) utrudnia procedurę lub nie zgadza się na objęcie ochroną prawną miejsc występowania tego zagrożonego węża. Zabiegiem czynnej ochrony może być: tworzenie kryjówek, odsłonięcie nasłonecznionych stoków oraz likwidacja roślinności nadmiernie zaciënającej stanowisko lęgowe

tekst i zdjęcia: **Marcin Polak**,
Katedra Zoologii i Ochrony
Przyrody UMCS w Lublinie,
Fundacja Dla Przyrody

EKOTEMATY

DR ADAM LESIUK

Inspiracja dla wszystkich



Jesienne bioopakowania

Kilkudniowy jesienny wyjazd na rowerze do Wilna w ramach prowadzonego projektu edukacyjnego „7 rzek” podsunął mi pomysł na napisanie paru słów na temat biodegradowalnych opakowań. Dlaczego? Pełno tych „opakowań” teraz w przyrodzie, okrywają cenne źródło białka, tłuszczu czy węglowodanów, na który świat zwierząt czekał przez całe lato z utęsknieniem. Mijałem po drodze rozsypane żółędzie przez dęby oraz orzechy włoskie w twardej łupinach, dojrzałe owoce jarzębiny i dzikiej róży już czekają na ptasich amatorów. Owoce dojrzałego lata są łakomym kąskiem dla migrujących ptaków czy przygotowujących się do zimy zwierząt czekających na szybkie uzupełnienie zapasów tłuszczu lub uzupełnienie zimowych spiżarni. Każdy owoc czy nasiono są pokryte świetnymi bio-materiałami zabezpieczającymi produkty w sklepie zwanym „Spiżarnia Przyrody”. Widok gawronów czy kawek dobierających się do włoskich orzechów może nas bardzo zaciekać

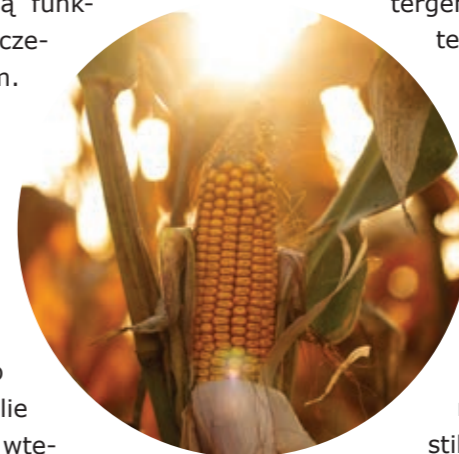


FOTO: Adam Lesiuk.

i wydłużyć niejedną spacer czy wycieczkę rowerową. Sposobów na rozbięcie orzechów tak dobrze zapakowanych i zabezpieczonych przed zepsuciem jest wiele, ale ptaki chyba opanowały je do perfekcji i radzą sobie bardzo dobrze.

Naturalne bioopakowania mogą być bardzo trwałe (łupiny orzechów), inne bardziej podatne na szybką biodegradację (skórka owoców, łuska nasion). Niektóre owoce przetrwają zimę i będzie można jeszcze zobaczyć je podczas wiosennych spacerów, po innych za chwilę nie będzie żadnego śladu, tak jak po ich „opakowaniu”. Warto dodać, że rozdrobione łupiny orzechów nadają się świetnie jako peeling oraz jako naturalny barwnik do tkanin (zielone łupiny). Opakowania przyrody to wzór i inspiracja do naśladowania dla całego przemysłu opakowaniowego, który w dużej części przedstawia się na opakowania biodegradowalne.

Mam świadomość, że opakowania do żywności spełniają bardzo ważną funkcję odpowiedniego zabezpieczenia żywności przed zepsuciem. Źle zastosowany rodzaj opakowania może zepsuć produkt żywnościowy, a wiemy że nie ma nic gorszego jak marnowanie żywności. Nie wszędzie możemy zastosować biopakowania, ale owoce i warzywa już dawno powinny być pakowane w folie biodegradowalne. Oczywiście wtedy jeśli producent jest zmuszony



do pakowania jednostkowego 2 czy 4 owoców, a to jeszcze częsty widok w sieciach sklepowych.

Przejazd przez teren Lubelszczyzny i Podlasia uświadomił mi olbrzymie zmiany w rolnictwie jakie zaszły w ciągu ostatnich 20 lat. Pola ziemniaków zastąpiły pola kukurydzy po horyzont uprawianej z przeznaczeniem na paszę dla zwierząt. Wspólną cechą tych dwóch roślin jest możliwość wykorzystania skrobi w nich zawartej do produkcji opakowań biodegradowalnych. Mam nadzieję, że część zbiorów z pól kukurydzy trafi do producentów wytwarzających folie i worki biodegradowalne, bo zastosowanie folii biodegradowalnych z kukurydzianej skrobi jest coraz większe. Świetnym pomysłem jest wykorzystanie takich folii przy produkcji małych jednostkowych opakowań żywności lub opakowań detergentów stosowanych do zmywania czy prania. Po wrzuceniu do pralki, zmywarki wraz z detergentem szybko znikają, natomiast te zużyte opakowania zawierające resztki żywności są materiałem kompostowalnym. Problem w tym, że nie bardzo wiemy jak sprawnie segregować plastik i bioplastik, a to jest konieczny warunek przy selektywnej zbiórce odpadów bio na kompostowanie. Tylko wtedy ograniczymy ryzyko zanieczyszczenia gleby mikroplastikiem i nie wylejemy przysłowiowego dziecka z kąpielą.

dr Adam Lesiuk

Wydział Nauk o Ziemi
i Gospodarki Przestrzennej

UMCS

Chwast, chwastowi nierówny

DR ANNA CWENER

Pojęcie chwast nie jest jednoznaczne i trudno je dokładnie zdefiniować. Najczęściej stosowane jest w odniesieniu do roślin niepożądanych w uprawach polowych i ogrodowych. W gospodarce leśnej mianem chwastów określa się drzewa i krzewy, które pojawiają się spontanicznie, a nie są przewidziane w docelowym składzie gatunkowym drzewostanów. Analogicznie chwastem nazywane są pojawiające się w stawie „niechciane” ryby. Czyli w zasadzie chwast to coś niechcianego, ale...

W przypadku chwastów roślinnych, bo o nich rzecz będzie, faktycznie mogą obniżać plony, gdyż zabierają roślinom uprawianym, światło, wodę i składniki pokarmowe. Niekiedy mogą nawet całkowicie zagłuszyć uprawiane rośliny. Chwasty pogarszają jakość zbieranych plonów, „zanieczyszczając” je swoimi nasionami. Niekóre utrudniają zbiór zbóż czy roślin okopowych albo przerastając uprawiane rośliny (np. przytulia czepna powoduje wyleganie zbóż), albo blokując lub niekiedy nawet uszkadzając maszyny rolnicze (ponoć twarde łodygi szarłatu są w stanie uszkodzić kombajn). W końcu niektóre chwasty są trujące dla ludzi i zwierząt (trujące, ale spokojnie, nie śmiertelnie, mogą powodować zatrucia i różne dolegliwości np. ze strony przewodu pokarmowego ale nie zgon). Wydaje się, że chwasty rosną wszędzie, a właściwie wszędzie tam, gdzie jest człowiek – są gatunkami synantropijnymi czyli towarzyszącymi człowiekowi. Na siedliskach, naturalnych, nie przekształconych żadnej rośliny nie nazywa się chwastem. Zazwyczaj ze względu na miejsce występowania wyróżnia się chwasty segetalne związane z uprawami, rosące przede wszystkim na polach oraz chwasty ruderalne rosące w sąsiedztwie osad, zabudowań ludzkich, np. przy szopach, płotach, najczęściej w miejscach bogatych w azot. Rośliny określane mianem chwastów właśnie dzięki człowiekowi rozszerzają swoje zasięgi, niektóre stały się

wręcz gatunkami kosmopolitycznymi, występującymi niemal na wszystkich kontynentach. Na przykład taka mała trawka – wiechlina roczna wraz z człowiekiem rozprzestrzeniła się po całym świecie. Została zawleczona nawet do Antarktyki, gdzie się zdomowiła, wkroczyła do naturalnych zbiorowisk tundrowych i obecnie jest jednym z trzech gatunków roślin naczyniowych występujących we florze tego regionu (inne gatunki nie dają sobie rady w tamtejszym klimacie). I właśnie część z dokuczających nam chwastów to rośliny rodzime występujące pierwotnie na naturalnych siedliskach i wtórnie rozprzestrzeniające się na siedliskach synantropijnych. Do takich należą np. przytulia czepna, podagrycznik pospolity, powój polny. Inne rozprzestrzeniły się wraz z uprawami. Duża grupa wśród naszych chwastów, zwłaszcza upraw



zbożowych, pochodzi z basenu Morza Śródziemnego. Te, które przybyły na nasze tereny przed rokiem 1492 określane są mianem archeofitów (odkrycie Ameryki zapoczątkowało wymianę gatunków między Starym Światem i Nowym Światem). Archeofitami są m.in. mak polny, chaber bławatek, cykoria podróżnik, kąkol polny. Te, które przybyły na dany obszar po dacie odkrycia Ameryki zaliczane są do kenofitów. Do tej grupy należą m.in. przetacznik perski, przymiotno białe, przymiotno kanadyjskie i niestety wiele gatunków inwazyjnych (to inny temat).

Wracając do wcześniejszego ale... chwast, chwastowi nierówny i to nie tylko ze względu na osiągnięte rozmiary, pochodzenie, miejsce występowania, „szkodliwość” dla upraw, ale również, co może zaskoczyć, znaczeniem dla bioróżnorodności, zastosowaniem i kategorią zagrożenia wyginięciem. Chwasty nie zawsze szkodzą uprawom, zależy to między innymi od ich zagęszczenia i okresu wzrostu, np. gdy kurzyśląd polny, włośnica zielona i włośnica sina rozwijają się na ścierniskach zbiorom nie szkodzą. Mało tego chwasty mogą mieć pozytywny wpływ

Chwast

FOTO: Z archiwum Ogródu Botanicznego UMCS.

FOTO: Chaber bławatek. Adobe Stock.

na uprawy, np. poprawiają życie biologiczne gleby wydzielając substancje stanowiące pokarm dla mikroorganizmów, sprzyjają akumulacji substancji pokarmowych i zapobiegają ich wymywaniu z gleby, rozwijając się poza okresem właściwej uprawy zapobiegają erozji gleby. Obecność chwastów umożliwia występowanie w uprawach różnorodnych grup owadów, nie tylko szkodliwych, ale też zwalczających szkodniki upraw.



Występowanie chwastów dwuliściennych – kwitnących, wpływa dodatkowo na liczebność i różnorodność owadów zapylających. Nasiona chwastów, zresztą i owady żyjące na chwastach, są pokarmem dla ptaków występujących w krajobrazie rolniczym. Czyli chwasty sprzyjają bioróżnorodności i podniesieniu walorów krajobrazowych terenów rolniczych. Niektóre chwasty wykorzystywane są w ziołolecznictwie.

Niemal wsządobyłski tasznik pospolity zawiera liczne substancje biologicznie czynne mające działanie przeciwrzotoczne i ściągające. Kłącze perzu ma działanie moczopędne, przeciwzapalne, bakteriobójcze. Substancje w nim zawarte usuwają z organizmu szkodliwe produkty przemiany materii, obniżają poziom cholesterolu i tłuszczów we krwi, wpływają pozytywnie na pracę przewodu pokarmowego stąd kłącze perzu wchodzi w skład mieszanek wspomagających odchudzanie. Spotykany często na chodnikach, gdzie przy krawężnikach rdest ptasi stosowany jest przy schorzeniach układu moczowego. Napary z fiołka trójbarwnego stosowane są w chorobach skóry (trądziku, liszajach i egzemach) oraz w chorobach górnych dróg oddechowych. Trudno nie wspomnieć o bardziej znanych „ziołowych” chwastach tj.: rumianek pospolity, mniszek lekarski czy pokrzywa zwyczajna. I choć mogłoby się wydawać, że chwasty są odporne i żywotne, że nic im nie zagraża jednak okazuje się, że wiele gatunków chwastów uznaje się obecnie za zagrożone wyginięciem. Intensyfikacja rolnictwa, stosowanie

chemicznych środków ochrony roślin, zmiana metod uprawy sprawiają, że liczne chwasty segetalne, zwłaszcza archeofity towarzyszące przez wieki uprawom nie „dają rady”. Coraz rzadziej w uprawach można znaleźć ostróżeczkę polną, kąkol polny, kurzyślad błękitny.

Do rzadkości florystycznych należy m.in. miłek letni, wilczypieprz roczny, pszonaczek wschodni, za chwasty krytycznie zagrożone wyginięciem na Lubelszczyźnie uznane są miłek szkarłatny, dąbrówka żółtokwiatowa, włóczydło polne, przytułia trójroźna, przewiercień okrągłolistny, prawdopodobnie wymarłe w naszym regionie są jaskier polny, czechrzyca grzebieniowa i czarnuszka polna, choć jeden okaz tej rośliny był ostatnio widziany na Rostoczu. Za wymarłe na terenie Polski zalicza się kariankę lnową oraz lnicznika właściwego. Chwasty ruderalne wymierają z powodu zanikania ich siedlisk: zagospodarowywanie nieuporządkowanych siedlisk, likwidowanie nieużytków, gruzowisk, a nawet koszenie poboczy, zbyt intensywna pielęgnacja trawników i ogrodów sprawiają, że spada liczebność chwastów. Nie namawiam do zaniedbywania ogrodów, ale do spojrzenia nieco łaskawszym okiem na niektóre chwasty i nie do końca uporządkowane miejsca.



dr Anna Cwener

Botanik i przyrodnik, pracownik naukowy Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, zajmuje się badaniem i ochroną muraw kserotermicznych na Lubelszczyźnie, współautorka atlasu „Flora Polski. Rośliny kserotermiczne”.

FOTO: Kurzyślady.

FOTO: Dąbrówka żółtokwiatowa.

Pełen melancholii blues

ADAM PRYZSTUPA

Mimowolnie nastrój tworzy
Deszcz co na ten padół mży
Blues zwykły czynić to niezgorzej
Słyszysz... w ciszy lekko drży
Głos co w głębi wnet zalega
Tocząc w duszę słodki mus
Ten pełen melancholii blues

Siąpiąc deszcz zdobi perliście
Trotuaru śliską gładź
Tańczy wzrok w szalonym twiście
Kiedy senność daje znać
Miasto w chłodnej aurze nocy
Spiją ciepło z jego ust
Ten pełen melancholii blues

Kłębi zmierzch nad Lublinem
Sploty chmur srebrno sine
W taflach okien jesień ściele
Dżdż pisaną akwarelę
Do drzwi puka, ze snu budzi
Wiatr co za dnia się natrudził
Widać myśli skoro noc
Ciężką głowę wtulić w koc

Mimowolnie nastrój tworzy
Deszcz co na ten padół mży
Blues zwykły czynić to niezgorzej
Słyszysz... w ciszy lekko drży
Spłynię z wolna w dół ulicą
W czerń zaułków darem muz
Ten pełen melancholii blues

ukończone 11 września 2013



SPACER Z ARCHEOLOGIEM

LUBELSKI BARBAKAN

W naszych spacerach z archeologiem **dr Rafałem Niedźwiadkiem** stąpamy dziś po śladach lubelskiego barbakanu i miejskiej fosy.

ADAM PRYZSTUPA

Wędrując ulicami Lublina, minąwszy Bramę Krakowską w kierunku Krakowskiego Przedmieścia dostrzegamy w nawierzchni chodnika intrygujące kamienne płyty odmiennego koloru i kształtu, które układają się w pewien określony geometryczny wzór. Cóż to takiego?

W taki sposób udało się uczytelnić, oznaczyć w przestrzeni miasta przebieg fundamentów nieistniejącej już dziś i nie znanej w pełni do 2018 r. budowli – lubelskiego barbakanu. Po raz pierwszy na jego relikty natknęto się w 1996 r. podczas budowy lubelskiego „deptaka”. Zastanawiano się wówczas czym mogą być odsłonięte fragmenty muru i jeśli dobrze pamiętam, w rozważaniach nie padło słowo „barbakan”. Ponieważ nie udało się wtedy odsłonić całości fundamentów, mocno upieraliśmy się, by to uczynić przy okazji remontu Krakowskiego Przedmieścia w 2018r. Tym bardziej, że korona tych murów wchodziła w kolizję z podbudową nawierzchni. W ten sposób zyskałmy możliwość odkrycia nieznanego elementu architektonicznego dawnego Lublina.

Zacznijmy od definicji.

Czym był barbakan?

Według definicji prof. Janusza Bogdanowskiego (niekwestionowanego autorytetu w dziedzinie architektury obronnej) barbakan to „dzieło lub zespół dzieł obronnych stanowiących rozwiniętą formę przedbramia. Składa się najczęściej z szyi, zakończonych np. wieżą, basztą, basteją, rondelą, tarasem, bastionem lub rawelinem.” W powszechnej świadomości utrwalił się obraz barbakanu w formie owalnej rondeli jakiej oglądamy w Krakowie i Warszawie. Stąd u niektórych wątpliwości, czy nasz lubelski obiekt obronny można nazywać barbakanem i sugestie, iż odkryliśmy

przedbramie. Tyle tylko, że w naszym przypadku to obiekt, który stał przed przedbramiem, za fosą i zgodnie z cytowaną tu definicją był wysunięty przed linię obrony. Zaś co do kształtu, owalna forma barbakanu jest tylko jedną w możliwych.

Jaki więc kształt miał lubelski barbakan?

W rzucie poziomym budowla zbliżona była do trapezu o ścianach bocznych w części zachodniej nieco wychylonych na zewnątrz. Jej szerokość wynosiła około 10 m, a długość – około 20 m. Grubość murów wykonanych z kamienia wapiennego wahała się od 1,1 do 1,3 m. Od czoła barbakanu znajdował się centralnie ustawiony prostokątny słup, stanowiący element dwudzielnej bramy. Kształt odsłoniętej budowli był wręcz analogiczny do planu nakreślonego w połowie XVII stulecia przez Karola Bekiewicza. Możliwe, że w tym czasie całe założenie łączyło się



FOTO: Fragment widoku Lublina, F. Hogenberg 1618 r.



FOTO: Z archiwum Archee.

Wyróżniony inną nawierzchnią zarys przebiegu fundamentów barbakanu przed Bramą Krakowską

z przedbramiem, tworząc szyję o długości około 32,5 m. Zespół obronny Bramy Krakowskiej łącznie osiągał długość około 44,5 m.

Przedstawiony opis odnosi się do odsłoniętych przez pana zespół fundamentów barbakanu. Czy mamy jednak wyobrażenie jak wyglądała jej część naziemna?

Moim zdaniem jedynym źródłem umożliwiającym wyobrażenie sobie jak wyglądał barbakan jest wizerunek miasta w publikacji Geорга Brauna i Fransa Hogenberga z 1618 r. Przed Bramą Krakowską widzimy tam budowlę z wieżyczkami. To jak się wydaje jedyny zachowany w ikonografii miasta wizerunek barbakanu.

Kiedy powstał lubelski barbakan?

Barbakan bardzo krótko był obecny w panoramie Lublina i trzeba przyznać, iż nie znamy dokładnej daty jego budowy. Powstał on najprawdopodobniej w okresie umacniania i naprawy fortyfikacji miejskich, realizowanych w XVI w. Znamy dwa zapisy z 1555 i 1564 r. mówiące

o Włochu Sebastianie, który przeprowadził prace budowlane przed Bramą Krakowską. Możemy się domyślać, iż mogły one dotyczyć rozbudowy przedbramia i postawienia barbakanu. Suma wydatków jakie wtedy poniesiono była zbyt duża, by wiązała się tylko z remontem istniejących fortyfikacji. Stąd hipoteza, by właśnie na ten okres datować jego powstanie. Potem jak już powiedzieliśmy barbakan pojawia się na rycinie Hogenberga z 1618 r. i na najstarszym planie Lublina sporządzonym przez Karola Bekiewicza w 1649 r. Barbakan nie widnieje natomiast na słynnym obrazie „Pożar miasta Lublina w 1719 r.” znajdującym się kościele oo. Dominikanów na Starym Mieście, co prowadzi do wniosku, iż wcześniej został wyburzony.

Czy prowadząc prace archeologiczne istnieje możliwość datowania bezwzględnego odkrytych fundamentów?

Niestety nie ma metody datowania kamiennych fundamentów, chyba że odnaleźlibyśmy w nich jakieś fragmenty organiki, węgla drzewnego. Taki ślad może być niewiele mniejszy niż paznokciec, ale w zaprawie barbakanu nic takiego nie udało się odszukać. Oczywiście



Barbakan podczas prac archeologicznych
a – barbakan, b – filar środkowy barbakanu,
c – wykopy archeologiczne, d – linia odwiertów
sondujących fosę

można datować cegłę jako przepaloną glinę, ale w żadnym z tych murów nie uświadczylismy cegieł. To była wyłącznie konstrukcja z kamieni wapiennych.

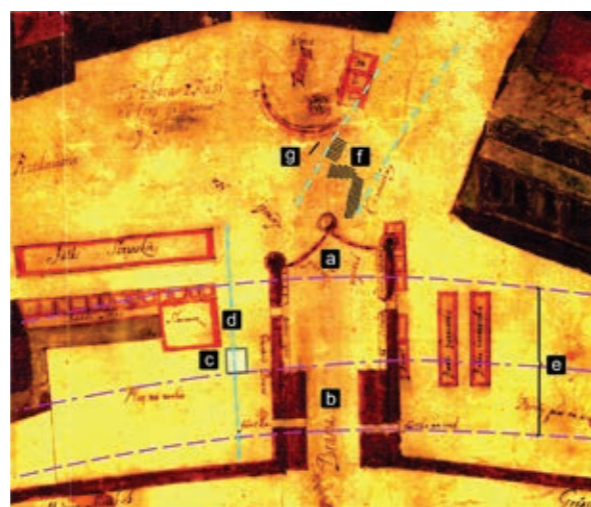
Powiedzieliśmy na początku, iż tego typu budowle miały charakter obronny. Czy lubelski barbakan miał szanse w ten sposób zaistnieć?

Podejrzewam, że nie. Zgodnie z zasadami sztuki wojennej najważniejszym zadaniem barbakanu byłoby wzmocnienie obrony przyczółku mostu nad suchą wówczas fosą i dostępu do Bramy Krakowskiej. Ochraniały przejazd przed szturmem prowadzony wzdłuż fosy od strony północnej i południowej. Pamiętajmy jednak,

że w XVI w. istniała już pierwsza linia umocnień wzdłuż ul. Świętoduskiej do klasztoru i kościoła o.o. Bernardynów, jak również druga wytyczona ok. 1560 r. potężniejsza linia fortyfikacji biegnąca przez ul. Kapucyńską do zespołu klasztornego ss. Brygidek z jednej strony z drugiej przez Staszica do klasztoru ss. Karmelitanek. Stąd czasem z przekąsem mówię, iż budując barbakan lublinianie odczuwali pewien niedosyt i postanowili dorównać takim miastom jak Kraków. Umiejscowiony w centrum ówczesnego miasta, które nie zamykało się już tylko w obrębie starych murów obronnych miałby więc on również funkcję reprezentacyjną, prestiżową.

Padło w naszej rozmowie słowo fosa...

Historii barbakanu nie sposób opowiedzieć nie poruszając tematu miejskiej fosy. Przed rozbudową systemu obronnego wjazd do miasta odbywał się najprawdopodobniej po moście zwodzonym nad fosą, a następnie przez bramę, której fundamenty wykonane z kamienia wapiennego sięgały głębokości od 4 do 4,5 m. W ramach przebudowy na wschodnim stoku fosy, na kamiennych podwalinach sięgających do 8,5 m postawiono przedbramie, zaś na zachodnim skłonie fosy pobudowano nasz barbakan. Badania archeologiczne w 2018 r., których efektem było odkrycie barbakanu, pozwoliły również określić wymiary fosy oraz wskazać fazy jej kształtowania a następnie zapełniania. Okazało się, że maksymalna szerokości fosy przed wjazdem do Bramy Krakowskiej dochodziła do 25 m, zaś jej największa głębokość sięgała 11 m licząc od współczesnej rzędnej



Plan okolic Bramy Krakowskiej Karola Bekiewicza, około 1650; (oprac. P. Zimny)

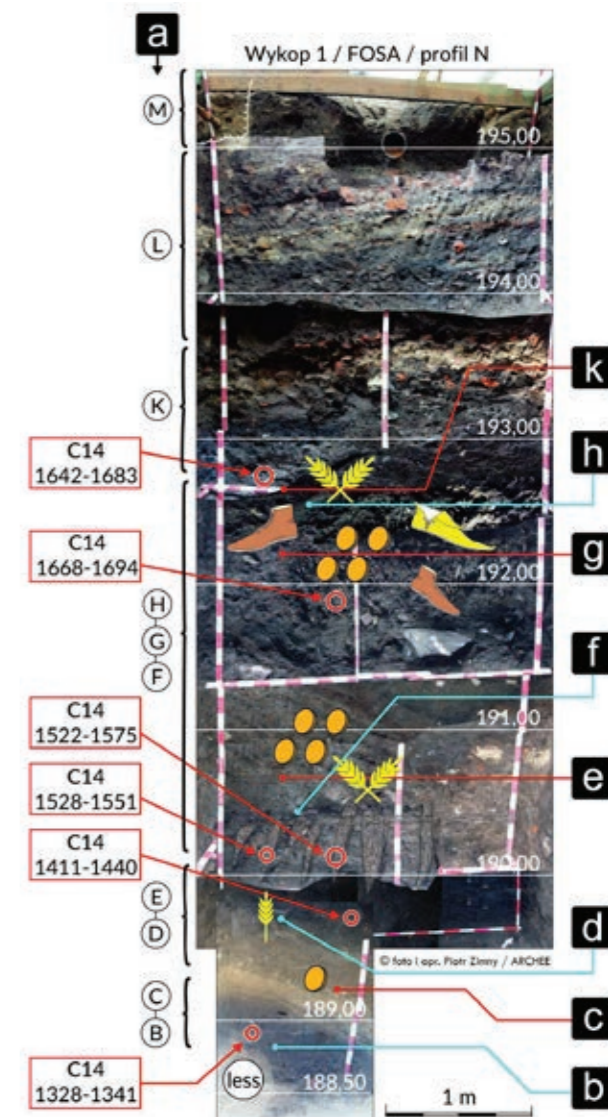
terenu. W odniesieniu do średniowiecznego poziomu gruntu mogła wynosić 9 m. Podczas naszych prac wykopy sięgnęły głębokości 7 m, potem by dotrzeć do dna fosy wykonano odwierty. Analizując to co z nich wynika możemy powiedzieć, że wymiary fosy ulegały zmianie. W najstarszym okresie, czyli w drugiej połowie XIII w. miała formę płytszego rozleglejszego rowu o głębokości blisko 5 m. W okresie panowania Kazimierza Wielkiego uformowano przegłębienie. Datowanie radiowęglowe znalezisk skorelowane z obiegiem znajdujących monet pozwala stwierdzić, iż od połowy XVI stulecia po etapie przegłębienia fosy obserwujemy cykliczny proces zapełniania jej całej szerokości. Wygląda to na bardzo przemyślaną akcję mającą miejsce jeszcze w XVII wieku. Jeśli ponownie spojrzymy na plan Bekiewicza z 1649 r. zobaczymy, że po obu stronach przedbramia Bramy Krakowskiej zaznaczono szereg budynków opatrzonych napisami: „Jatki Szewskie”, „Budki Solne”, „Słoszarz”, „Budki Garncarskie”, przy ścianach wewnętrznych przedbramia znalazła się adnotacja „tu szewce siadają wbramie”. Teren ten nazywany Korce był więc miejscem targowym, dla którego fosa systematycznie zapełniania odpadkami stała się śmietniskiem.

To częsta sytuacja?

Znajdujące się w przestrzeni miasta zagłębienia terenowe w naturalny sposób stawały się miejscem gromadzenia odpadów i z czasem ulegały niwelacji. Taki los spotkał m.in. nieistniejący dziś wąwóz, którego lokalizację odkryto w czasie badań archeologicznych pod tylną częścią kamiennicy przy ul. Królewskiej 1. Głębsze niż fosa kazimierzowska zagłębienie intensywnie zapełniano w XVII w., ale jeszcze w połowie



Plomby tekstylne z wypełniska fosy, XVII w.

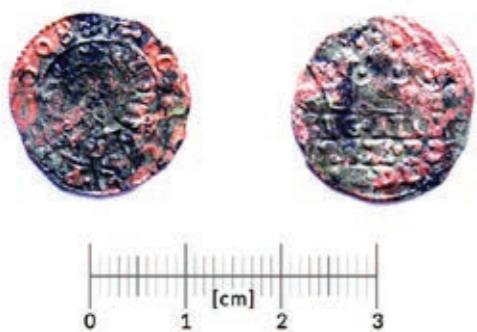


Profil fosy z odnalezionymi przedmiotami

tego stulecia nadal było widoczne w panoramie miasta, gdyż nad jego biegiem Karol Bekiewicz zapisał „Rinstok”. Kartograf nad rowem narysował kładkę, a drogę prowadzącą do niej z Korców nazwał „Lawki Bernardcarskie” (bernardyńskie). Podobnie, ale jeszcze w średniowieczu, zapełniono fosę dzielącą Wzgórze Staromiejskie.

Zwykło się mówić, że każde śmietnisko to raj dla archeologów. Zapewne i w zasypanej lubelskiej fosie natrafiliście na interesujące artefakty?

To przede wszystkim przedmioty potwierdzające handlowy charakter okolic barbakanu. Znaleźliśmy ślady roślin uprawnych, którymi tu zapewne handlowano, takich jak proso, ale też roślin zbieranych jak chmiel zwyczajny, orzech laskowy, poziomka pospolita, borówka i gorczyca.



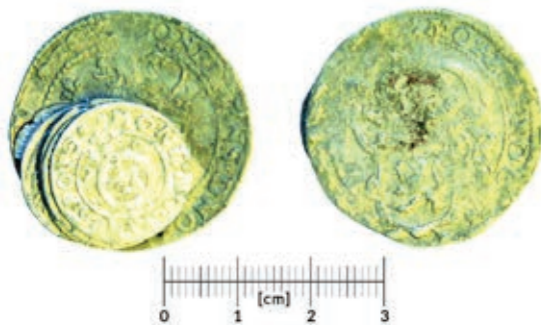
Grosz fałszywy „1608” Zygmunta III Wazy



Dwa krajcary Ferdynanda II Habsburga 1569 r., men. Hall



Denar fałszywy Kazimierza Jagiellończyka, po 1455



Talar lewkowy

Bardzo ważnym odkryciem jest odnalezienie ołowianych plomb tekstylnych z fragmentami tkanin, które prawdopodobnie stanowiły fragmenty worków służących do transportowania innych towarów. Plomby potwierdzały oryginalność wyrobów znajdujących się wewnątrz worka, czasem znajdowały się na nich informacje o rodzaju czy barwieniu materiału. To pierwsze materialne potwierdzenie obrotu towarami wszelakimi w rejonie Bramy Krakowskiej. Wcześniej w 2017 r. plomby tekstylne odkryto podczas prac archeologicznych na skwerze między ulicami Lubartowską i Świętoduską. Pogłębiona analiza tych znaleziska powinna dać nam informacje o kontaktach handlowych Lublina w XVI stuleciu.

Fosa to również miejsce, gdzie archeolodzy mają szansę odnaleźć coś, co w potocznym wyobrażeniu można nazwać skarbem...

Jeśli mowa o numizmatkach to podczas naszych prac obok monet dość rzadkich zaskoczyła nas duża ilość monet fałszywych. Pośród nich szczególne miejsce zajmuje 11 groszy koronnych Zygmunta III Wazy, które są sygnowane datami od 1606 do 1610 r. Obok nich wymienić trzeba fałszywe szelągi króla Jana Kazimierza, fałszywy szeląg ryski Karola X Gustawa z Mołdawii nazywany też „szelągiem wołoskim” oraz nielegalnie bity denar węgierski Rudolfa II, który odnaleźliśmy zgięty i przebity na środku. Zniszczenie fałszyfikatów oznaczało wyłączenie ich z obiegu. Znaczna ilość może wskazywać, iż gdzieś w rejonie barbakanu lub przedbramia istniała komora celna kontrolująca i dbająca o jakość pieniądza. Fałszywe eliminowała z obiegu wyrzucając do wypełnianej odpadkami fosy. Podczas jej eksploatacji odnaleźliśmy również monety oryginalne, z których najciekawszy wydaje się talar lewkowy (leuwendaalder) z nieczytelnym rokiem należący do emisji Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich. To takie ówczesne Euro, wykorzystywane w handlu międzynarodowym. Talar znaleźliśmy się w zlepku srebrnych monet, których ułożenie wskazuje, iż znajdowały się w zgubionej przez kogoś sakiewce. W fosie odkryliśmy również bogato zdobione mosiężne zamknięcie portmonetki. Być może padła ona łupem złodzieja, który zabrał sakiewkę z zawartością a porzucił okucie, by pozbyć się dowodu przestępstwa. Innym ciekawym znaleziskiem związanym z targowym charakterem miejsca są odnalezione liczmany. To bite przez mennice żetony zastępujące



Drewniane wrzeciona tkackie wydobyte z wypełniska fosy, XVII w.



Waga wydobyta z fosy, XVII w.

podczas przeliczania transakcji handlowych na targowisku pieniądze, które dla bezpieczeństwa pozostawiano w domu.

Czy fakt odkrycia barbakanu w sąsiedztwie Bramy Krakowskiej może sugerować, iż podobna budowla mogła znajdować się od strony Bramy Grodzkiej?

Raczej nie. Przypuszcza się, że w tamtym miejscu znajdowała się przeprawa mostowa łącząca Bramę Grodzką ze wzgórzem zamkowym. Podczas prowadzonych w tamtym miejscu prac archeologicznych założyliśmy wykop, który sięgał podłoża geologicznego. Jego badania wykazały wyraźne warstwy fluwialne wskazujące, że między wzgórzami przełamywała się woda, stąd konieczność lokalizacji w tym miejscu takiej przeprawy. Tak więc jedyny barbakan, jak budowla reprezentacyjna, nadająca miastu prestiżu usytuowany był od strony zachodniej zamykając je dwoma wrotami w kierunku przedmieść Lwowskiego i Krakowskiego.

Jak pan zapamiętał pracę związaną z odkryciem fosy i barbakanu?

Zapamiętałem to jako bardzo trudne przedsięwzięcie pod względem organizacyjnym. Początkowo trudno było kogokolwiek nakłonić do tak szerokiego zakresu prac. Stanęły przed nami wszelkie przeszkody, jakie tylko mogliśmy sobie wyobrazić - od potrzeby zmiany ruchu pojazdów i pieszych, znajdujące się w gruncie elementy infrastruktury po terminy i finanse. Myślę jednak, że żaden z włodarzy miasta, włącznie z Panem Prezydentem z którym wielokrotnie o tym rozmawiałem, nie żałuje tego kroku. Gdybyśmy tych badań nie podjęli w owym czasie to nie wiem na jak długo temat barbakanu byłby zamknięty i snulibyśmy jedynie domysły, co do jego istnienia i wyglądu. Udało się też rozpoznać choć trochę fosę i odnaleźć wczesnochrześcijański cmentarz wart oddzielnej opowieści. Te odkrycia i płynąca z nich wiedza wzbogaciła na trwałe historiografię miasta.



dr Rafał Niedźwiadek

Absolwent archeologii na UMCS w Lublinie i UR w Rzeszowie, asystent w Zakładzie Archeologii Późnego Średniowiecza i Nowożytności, Instytutu Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor i współautor ponad 80 publikacji, w większości opisujących dzieje Lublina i Lubelszczyzny. Założyciel firmy Archee Badania i Nadzory Archeologiczne prowadzącej m.in. w latach 2001-2002 badania archeologiczne w archikatedrze lubelskiej (ponad 100 pochówków znalezionych w kryptach i najliczniejsza w Polsce kolekcja ubrań staropolskich), w latach 2003-2004 pierwsze badania archeologiczne na Lubelszczyźnie towarzyszące budowie dróg szybkiego ruchu, w latach 2007-2011 prace archeologiczne w Teatrze Starym w Lublinie, badania archeologiczne na pl. Litewskim (2016), deptaku i pl. Łokietka (2018).

FOTO: Z archiwum Archee.

O Złotym Śmieciarzu

Ta ciekawostka zawsze robi wrażenie. Ponoć, gdyby ustawić w szeregu ciężarówki wywożące rocznie 2,12 miliardów ton śmieci na całym świecie na wyspiska, 24 razy opasałyby kulę ziemską. Nie sprawdzałem owych wyliczeń, ale jeśli ów tekst czytać literalnie i dotyczy on tylko tych odpadów, których przeznaczeniem jest składowanie, to sznur pojazdów odbierających co dnia z domostw na całym świecie wszystkie frakcje byłby jeszcze dłuższy. Co ciekawe, jednych w tym zdaniu zaintryguje ilość wytwarzanych przez ludzkość odpadków, innych jak wiele z nich niepoddanych recyklingowi zakopywana jest w ziemi (nawet w przypadku najnowocześniejszych składowisk, unieszkodliwienie jest formą ukrycia odpadów pod warstwą ziemi). Znajdą się wreszcie tacy, których zadziwi ilość pojazdów przemierzających z odpadami trakty i ulice naszego globu. Ja zadałem sobie pytanie - czy tylko samochody?

Rzecz jasna, nie tylko, biorąc choćby pod uwagę Wenecję. W jej dzielnicach położonych na wyspach odbiór odpadów realizowany jest przy pomocy łodzi wyposażonych w zgniatarki. Pływające śmieciarki codziennie zjawiają się by zebrać odpady zmieszane, te przeznaczone do zbiórki surowców trzy razy w tygodniu. Taki sposób zbiórki wymusiło położenie miasta, ale okazuje się, że transport wodny wśród gospodarujących odpadami ponownie staje się popularny. Wszystko za sprawą trwającej ekologów chęci ograniczania emisji, zwłaszcza tych związanych z transportem. Dokładnie trzy lata temu w rodzinnym mieście Rembrandta, Lejdzie postanowiono rozwijać flotyllę barek by wywozić nimi nieczystości. W lipcu tego roku brytyjska firma specjalizująca się w przetwarzaniu i utylizacji odpadów, Cory Group, odebrała pierwszą z serii 23 barek zbudowanych dlań przez stocznice



FOTO: Współczesna barka na Tamizie, Adobe Stock.

Harland and Wolff z siedzibą w Irlandii Północnej. Nazwano ją „Wandle”, co znaczy różdżka, co świadczyć może jak wielkie nadzieje pokładane są w tym projekcie. Barki mają transportować odpady reszkowe z nadrzecznych stacji przeładunkowych w londyńskich dzielnicach Wandsworth, Battersea, City of London, Tower Hamlets oraz Barking i Dagenham do należącej do Cory Group zakładu termicznego przetwarzania odpadów Riverside 1 w londyńskim Belveder. To jedna z większych brytyjskich spalarni, gotowa przyjąć 850 000 ton odpadów, więc wykorzystanie Tamizy jako „zielonej autostrady” pozwoli ponoć oszczędzić 100 000 przejazdów śmieciarek.

Pisząc o renesansie rzeczno-transportu odpadów użyłem słowa „ponowie” myśląc właśnie o Brytyjczykach. Wypływająca ze wzgórz Cotswolds Tamiza toczy swe wody przez nizinę zwaną Basenem Londyńskim ku morzu Północnemu od wieków stanowiąc najważniejszy szlak transportu wodnego na wyspach.

Wspomniana tu firma Cory jest spadkobiercą założonej w 1896 r. spółki William Cory and Son, która na początku XX stulecia dostarczała 5 mln ton węgla rocznie londyńskim przedsiębiorcom. Puste barki w drodze powrotnej ładowano odpadami, które utylizowano na bagnach w Kent i Exeter. Jeśli dziś o spadkobiercach Cory’ego można mówić jako o jednej z wiodących brytyjskich firm gospodarujących odpadami, owe miano w połowie XIX stulecie bezsprzecznie należało do Henry’ego Dodda.

Henry przyszedł na świat 29 października 1801 r. Z faktu, iż do trzydziestego roku życia pracował jako oracz na polach w pobliżu kościoła św. Pawła wnosić należy, iż pochodził z ubogiej, wiejskiej rodziny. Szukając poprawy losu w 1836 r. porzucił tę pracę na rzecz równie ciężkiej roboty przy odbiorze i sortowaniu odpadów. Miast odkładać z mozołem kolejne skiby oranej ziemi wędrował zapewne od domu do domu z plecym koszem, który mieszkańcy wypełniali odpadkami. O znanych nam dziś pojemnikach na śmieci nikt jeszcze nawet nie myślał a wszelkie nieczystości zwykło się składać w murowanych czy drewnianych zasiekach umiejscowionych w podwórzu czy ogrodzie. Musiał się więc Henry nie raz namęczyć szuflując śmieci do kosza a potem zarzuciwszy go na plecy nieść ów ciężar do czekającego nań konnego wozu. Jako że gros z tych śmieci stanowił popiół z domowych palenisk, każdy kto wykonywał tę pracę chodził pokryty warstwą szarego pyłu. Popiół wciskał się do oczu i ust, szarością rugował naturalne barwy noszonej przezeń kurty, bryczesów, ochronnych getrów czy kapelusza, którego nienaturalnie wydłużone z tyłu rondo opadało na kark chroniąc by odpady nie sypały się za kołnierz. Ów wszechobecny popiół, pył czy kurz sprawiły, iż na ludzi mu podobnych w języku Szekspira mówiono „dustman”.

Czasem można przeczytać, iż Henry Dodd nie tylko odbierał śmieci, ale też pracował na tzw. polach przesiewowych, gdzie zrzucano zawartość wozów pełnych nieczystości. Tu na ciężkich żelaznych sitach przesiewano cuchnące przyzmy w poszukiwaniu tego, co można by raz jeszcze wykorzystać. Drobną pylistą popiół wykorzystywany był do nawożenia pól pod uprawę koniczyny. Po wymieszaniu z gliną stanowił również doskonały surowiec do produkcji cegieł, podobnie jak sortowany na oddzielnych przyzmych żužel.

Niedopalone, największe kawałki węgla kierowane były do ponownego spalania w koksownikach. Jeśli resztek jedzeniowych nie dopadły kręcące się między przyzmy śmieci zwierzęta, przekompostowane służyły za nawóz pod uprawy pszenicy i jęczmienia. Potłuczone naczynia z ceramiki, cegły czy bogate w wapno muszle ostryg znajdowały swe zastosowanie w budownictwie, szmaty wykorzystywano w papierniach, kości zaś przy produkcji kleju. Prowadzenie takich pól przesiewowych było dla ich właścicieli ponoć zajęciem bardzo zyskownym, w co nie ma powodu wątpić, zważywszy, że wraz z rozwojem miast ilość śmieci przyrastała lawinowo a rozwijający się przemysł łaknął surowców. Mając na względzie podłe warunki w jakich pracowano przy sortowaniu odpadów, a często zajmowały się tym kobiety a nawet dzieci, koszty pracy w ówczesnych realiach był w zasięgu żądne.

Zwykło się mawiać, iż Henry Dodd szybko odkrył, iż jeszcze większe pieniądze niż na sortowaniu odpadów można zbić na ich transporcie. Postanowił tylko zastąpić konne dwukółki flotyllą barek żaglowych, które mogły przewozić znacznie większe ładunki z większą prędkością. Ponoć pierwsze z nich wynajął, kolejne zaś kupił. Tajemnicą pozostaje skąd miał na to pieniądze, bo wszelkie notki biograficzne płynnie przechodzą od czasu, gdy fizycznie pracował przy odbiorze śmieci do etapu, w którym był właścicielem firmy transportowej. Może rozwiązane zagadki znajdziemy w jednej z ostatnich powieści Karola Dickensa zatytułowanej „Nasz wspólny przyjaciel”? Może tak jej bohater Nikodem Boffin niespodziewanie odziedziczył skład odpadów, z którego sam począł ciągnąć zyski? Zwykło się uważać, iż Karol Dickens kreśląc tę postać wzorował ją właśnie na Henrym Doddzie zwanym w Londynie „Złotym śmieciarzem”. Pisarz mieszkający na Doughty Street, ledwie milę od miejsc składowania londyńskich odpadów w Somers Town (dzisiejsza dzielnica King Cross) znał go osobiście, podobno nawet się przyjaźnili.

Jakkolwiek było naprawdę Henry Dodd, plebejusz wszedł w połowie XIX stulecia na londyńskie salony dzięki swej zaradności, pracowitości i wrodzonej inteligencji. Stawiając na transport wodny zyskał przewagę nad konkurencją, ale również zdywersyfikował swój biznes, bo barki pływające po Tamizie woziły nie tylko odpady. Rozbudowujące się miasto potrzebowało cegieł,

które transportowano z Essex i Kent, cementu oraz piasku wydobywanego przy ujściu rzeki. Konny transport, który mimo wszystko pozostawał najpowszechniejszym na ulicach stolicy, potrzebował ogromnych ilości siana i słomy. Jednocześnie Dodd inwestował w cegielnię, co dziś nazwalibyśmy strategią „integracji pionowej”. Zaryzykujemy stwierdzenie, że był jej prekursorem, a przynajmniej pionierem w branży odpadowej. Swego protoplasty śmiało mogliby w nim upatrywać również zwolennicy logistyki zwrotnej czy gospodarki o obiegu zamkniętym.

Miał również pan Dodd niekonwencjonalne jak na owe czasy podejście do zarządzania ludźmi. Zauważywszy, że pomiędzy kapitanami jego barek ma miejsce rywalizacja postanowił urządzać regaty na Tamizie. Zatrzymajmy się na chwilę, by wyjaśnić pewne zagadnienie mogące budzić wątpliwości. Współcześnie znane nam barki kojarzą się z łodziami o płaskim dnie pozbawionymi własnego napędu zazwyczaj holowane przez statki motorowe zwane holownikami, lub też pchane przez inne jednostki zwane... a jakże, pchaczami. Takie barki jako żywo ścigać się nie byłyby w stanie. Nie były to też barki ciągnięte przez konie stąpające wzdłuż żeglugowego kanału. Po Tamizie pływały w XIX stuleciu barki żaglowe o dwóch masztach i bukszprycie. Płaskodenny wykonany z drewna kadłub o długości 24-27 m i szerokości 6 m mieścił w sobie ładownie i dwie małe części mieszkalne na dziobie i rufie. Jako że nie posiadały stępki wyposażono je w tzw. leeboardy, czyli umieszczone przy burtach opuszczane w razie potrzeby do wody miecze pomagające utrzymać się wodzie. Przy ładowności 120 ton osiągały prędkość do 12 węzłów dzięki stosunkowo dużej powierzchni żagli o łącznej powierzchni nawet 500 m². Swą charakterystyczną rdzawą barwą żagle zawdzięczały przedziwnej miksturze stosowanej do ich impregnacji wyrabianej z czerwonej ochry, oleju z dorsza, moczu i wody morskiej. Takie barki zwykli uwieczniać na swych obrazach angielscy maryniści i pejzażyści od Edwarda Williama Cooka przez Charlesa Williama Wyllie po wielkiego Williama Turnera.

Pierwszy wyścig w 1863 r. odbył się z Erith do Canvey Island. Zwycięzca wzbogacił się o nagrodę pieniężną przyznaną pod auspicjami Prince of Wales Yacht Club. Nie był to jednak jak powszechnie sądzono królewski patronat, ale nawiązanie do nazwy nowo otwartego w Erith

hotelu „Prince of Wales”. Henry Dodd rzecz jasna nawet nie próbował prostować nieporozumienia. Zależało mu na rozgłosie, bo regaty nie tylko były nagrodą dla jego pracowników, ale przede wszystkim doskonałą reklamą usług świadczonych przez jego barki. W 1864 r. regaty otwarto dla wszystkich chętnych. Na nowej trasie z Erith do mielizny North u ujścia Tamizy rywalizowało 40 jednostek. Ich popularność rosła z roku na rok. Dość powiedzieć, iż czarterowano statki pasażerskie by towarzyszyły ścigającym się barkom. Z ich pokładów potrafiło obserwować rywalizację nawet 10 000 widzów. Henry Dodd zacierał ręce. Rosła ilość zleceń, barki, które użytkował dążąc do zwycięstw udoskonalano, zaś co do pracowników... Cóż, miał pewność na ile ich stać, jak szybko mogą przemierzać swe trasy.

Regaty barek na Tamizie nie odeszły w niepamięć wraz ze śmiercią Dodda w 27 kwietnia 1881 r. „Złoty śmieciarz” w testamencie ze swojego majątku liczącego wówczas 100 tysięcy funtów kwotę 5 tysięcy przeznaczył na nagrody w kolejnych edycjach wyścigu. Rozgrywane są do dzisiaj. Starsze od nich są jedynie regaty o Puchar Ameryki, który swój początek miały w roku 1851 jednak tylko na Tamizie żegluje się do dziś na jednostkach praktycznie niezmiennych od czasów ich największej chwały.

W czasach królowej Wiktorii liczbę barek żaglowych pracujących na największej z angielskich rzek liczono w tysiącach. Jeszcze w 1903 r. szacowano, iż nomen omen, dźwigają one na swych barkach od 75% do 80% całego transportu w Londynie, ale w XX stuleciu poczęły ustępować pola samochodom. Ostatnia drewniana barka żaglowa „Cabby” została zwodowana w stoczni we Frindsbury w 1928 r. Kolejne budowano już ze stalowymi kadłubami. Dziś pływa ich ledwie około trzydziestu.

Jeśli nie liczyć corocznych regat „śmieciowe” barki swoje ostatnie dni chwały przeżyły w 1940 r. Wobec zepchnięcia przez Niemców wycofujących się Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych w okolice Dunkierki Brytyjska Admiralicja wydała 26 maja rozkaz, który brzmiał „Należy rozpocząć operację Dynamo”. Jej celem była ewakuacja ocalałych wojsk na Wyspy Brytyjskie. W portach południowo-wschodniej Anglii zmobilizowano pośpiesznie całą armadę nieuzbrojonych małych statków, stateczków, jachtów i motorówek, którą przewano „the cockleshell armada” – armadą



THAMES BARGE

FOTO: Żaglowa barka z Tamizy, ok. 1880 r. Adobe Stock.

łupinek. Było wśród nich trzydzieści barek, które ze względu na swą konstrukcję mogły docierać do samych plaż Dunkierki. Podczas operacji, która w przeciągu dziesięciu dni pozwoliła uratować 338 226 żołnierzy dwanaście barek zostało zatopionych. Pozostałym udało się wrócić do Anglii. Trzy z nich „Pudge”, „Centaur” i „Greta” wciąż żeglują po Tamizie, choć już tylko rekreacyjnie.

Nigdy nie należały do floty Henry Dodda, ale mimowolnie przywodzą na myśl jego nieco zapomnianą postać. Intrygującego człowieka, który swym życiem wyprzedził amerykański mit streszczony w słowach „od pucybuta do milionera”. Choć w jego przypadku należałoby rzec „od oracza, przez śmieciarza do milionera”. Ja wszakże cenię go za coś zupełnie innego. Być może gdyby nie on, jego przyjaciel Karol Dickens nie utoczyłby ze swej wyobraźni sceny, w której pan Boffin na pytanie o to, czy ręczy swym słowem i honorem odpowiada „Drogi panie, masz pan moje słowo. A w jaki sposób mogę dać panu słowo i nie ręczyć honorem... nie wiem. Wysortowałem w swoim życiu całe kupy śmieci, ałem nigdy nie potrafił oddzielić słowa od honoru.” Obyśmy wszyscy (wszak ponoć każdy przyznaje się do domowego sortowania odpadów) mogli zdobyć się na taką odpowiedź.



Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów
Adama Przystupy
można przeczytać
na stronie
www.kom-eko.pl



Pracę łączę z pasją

Z **Tomaszem Jasiną** rozmawiamy o najlepszych latach lubelskiego futbolu, miłości do sportu i sekretach pracy dziennikarza....

ADAM PRZYSTUPA

Panie Tomaszu, zacznę od wątku osobistego. Obok umiłowania sportu łączą nas Kalinowszczyzna i Szkoła Podstawowa nr 10...

Do dziś czuję się takim trochę chłopakiem z Kaliny, bo przecież tam się wychowałem. Szkoła Podstawowa nr 10 to była szkoła, w której dużą wagę przywiązywano do sportu, przynajmniej w tych czasach, w których ja do niej chodziłem. Sport obok nauki był bardzo ważną częścią naszej edukacji i wychowania, a że warunki mieliśmy, jak na tamte czasy, całkiem przyzwoite do tego, by ten sport uprawiać, myślę, że ci, którzy się nim pasjonowali mogli z tego skorzystać.

Do wyczynowego sportu najbliżej było na stadion Motoru przy ul. Kresowej...

Dosłownie przysłowiowy rzut beretem, więc kiedy w szkole pojawiła się informacja, że odbędzie się nabór, od razu się zgłosiłem. Trzeba jednak wiedzieć, że w owych czasach odbywały się rozgrywki międzyszkolne i gdzieś tam pewnie

zostałem dostrzeżony jako ten, który w tej Szkole Podstawowej nr 10 się wyróżniał. Skauting we współczesnej formie wówczas nie istniał, natomiast oczywiście trenerzy grup młodzieżowych pojawiali się na tego typu rozgrywkach. W Motorze trafiłem najpierw do nieżyjącego już trenera Stanisława Rudnickiego, ale ponieważ prowadził grupę starszą chyba o dwa roczniki, to zostałem przekierowany do młodszej grupy prowadzonej przez również już niestety nieżyjącego Macieja Famulskiego. To był trener, który miał „oko do młodzieży”. Jeśli chodzi o technikę potrafił sam zademonstrować właściwie wszystko: sposób uderzania piłki, poruszania się po boisku. Było to niezwykle cenne, bo nawet dziś nie zawsze w przypadku trenerów świetne przygotowanie teoretyczne idzie w parze z praktyką. Dla młodych ludzi, a ja miałem wówczas bodajże 11 lat, było ważne, żeby zobaczyć jak się prawidłowo przyjmuje piłkę, jak się ją podaje, jakie musi być wtedy właściwe ułożenie ciała.



RKS „MOTOR”

SEZON 1985/86

T. Kamiński-kierownik, Z. Bartnik-asystent trenera, J. Złomańczuk-trener, K. Gładysiewicz, J. Kudyba, D. Bartoszewski, D. Opolski, S. Karwat, R. Kozioł, Z. Slipiko, M. Boguszewski, R. Żuchnik, W. Wiater-asystent trenera, R. Sowiński-masażysta, T. Jasina, J. Góra, W. Fiuta, A. Szczepański, L. Iwanicki, M. Szaniawski, A. Łatka, M. Car, J. Dec, R. Grzanka, K. Wójtowicz

FOTO: Z archiwum Tomasza Jasiny.

Odpowiednikiem dzisiejszej piłkarskiej ekstraklasy była w latach osiemdziesiątych pierwsza liga. Debiutował Pan w niej w barwach lubelskiego Motoru w sezonie 1983/1984...

W marcu 1984 r. w meczu z Szombierkami Bytom nie mając jeszcze skończonych dziewiętnastu lat. Już jakiś czas trenowałem z pierwszą drużyną i miałem nawet taką cichą nadzieję, że zadebiutuję sezon wcześniej, ale się nie udało. Ten pierwszy mecz to oczywiście ogromne przeżycie. Niewiele z niego pamiętam, poza tym, że wszedłem na boisko i starałem się być wszędzie, co oczywiście nie było możliwe. Natomiast niezapomniane było to, że przy pełnym stadionie wyszedłem na boisko, że spiker wyczytał moje nazwisko. Spotkanie zakończyło się bezbramkowym remisem, więc nie był to jakiś wybitny mecz Motoru. Natomiast dla mnie w tym momencie to zeszło na plan dalszy, bo liczyło się to, że w końcu w tej pierwszej drużynie Motoru udało mi się zadebiutować.

Ośmielę się powiedzieć, iż Motor lat osiemdziesiątych był najlepszą drużyną piłkarską w historii Lubelszczyzny. Na wasze mecze na stadion przy al. Zygmuntońskich jak pisano przychodziło po 20 000 kibiców...

Przyjmijmy te liczby za umowne, bo inne, nie tak dokładne, były wtedy metody określania liczby osób, które zjawiły się na stadionie.

Podchodząc ostrożnie do tych szacunków warto jednak pamiętać, iż ten stadion miał kiedyś drewniane ławki, między kibicami właściwie nie było wolnej przestrzeni co nie miało to zbyt wiele wspólnego z obecnymi standardami bezpieczeństwa. Niemniej przy okazji meczów pierwszoligowych stadion zapełniał się za każdym razem. To był czas, kiedy trenerem drużyny był Lesław Ćmikiewicz – bardzo dobry trener, który troszeczkę jak na owe czasy może zbyt miękką ręką rządził w takim zespole. Motor plasował się wtedy na 10-11 miejscu w tabeli pierwszej ligi i rzeczywiście był to czas, kiedy Lublin miał dobrą drużynę piłkarską. To nie była drużyna jeszcze na miarę europejskich pucharów, ale też nigdy chyba nie stawiono sobie takiego celu, żeby ten zespół wzmocnić, budować go z myślą o czymś więcej niż tylko bezpieczne miejsce w tej ówczesnej pierwszej lidze.

To trochę zapomniana historia a przecież z występami ówczesnego Motoru wiązał się np. tytuł króla strzelców wywalczony przez Leszka Iwanickiego...

Leszek strzelił chyba 14 goli, co jakimś wyczynem wielkim nie było, natomiast liczy się to, że nikt inny nie strzelił ich więcej. Pamiętam, że lwią ich część to były bramki, które zdobył z rzutów wolnych. Nie dysponował jakimś atomowym strzałem, ale raczej takim technicznym, podkręconym, który sprawiał bramkarzom często

bardzo, bardzo wiele problemów. Obok Leszka Iwanickiego przez ten zespół przewinęło się wielu naprawdę dobrych zawodników, którzy potem grali w innych klubach, nawet ocierali się o reprezentację Polski. Wystarczy wspomnieć Zygmunta Kalinowskiego, Modesta Boguszewskiego, Roberta Grzanę, Andrzeja Łatkę. To byli ludzie, którzy w tej piłce coś znaczyli a do tego dochodziła cała grupa zawodników związanych z regionem, niekoniecznie wychowanków Motoru (choć tacy też wówczas byli w składzie), ale pochodzących z mniejszych ośrodków na mapie województwa lubelskiego.

Motor sięgał po tych najbardziej uzdolnionych, grających w niższych ligach?

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że korzystał w sposób dość brutalny z przywileju bycia monopolistą w województwie, jeśli chodzi o wysoką pozycję w futbolu. Dlatego jeśli chodzi o region nie był zbyt lubianym klubem. Działacze mniejszych klubów mieli pretensje o „wyrwanie” tego czy innego zawodnika. Nie pochwalam tego rodzaju praktyk, natomiast trzeba też pamiętać o tym, że na tamte czasy wyjście z takiego małego klubu było dla wielu zawodników szansą na rozwój na to, żeby zaistnieli w piłce klubowej czy nawet reprezentacyjnej.

Z drugiej strony Motor zderzał się np. z równie brutalnym mechanizmem pozyskiwania zawodników przez kluby „wojskowe” i „milicyjne” w związku z koniecznością odbycia zasadniczej służby wojskowej...

Tak, to był kolejny element ówczesnej piłkarskiej rzeczywistości. Gdy wojsko zagięło na kogoś parol, to bardzo ciężko było go wybronić. Próbowano różnych sposobów, choćby przez studia. Oczywiście nie miało to nic wspólnego prawidłową strukturą funkcjonowania ligi piłkarskiej. W połowie lat osiemdziesiątych, czasach PRL-u, kiedy wiele rzeczy nie funkcjonowało tak jak powinno, sprawy dziś oczywiście załatwiano w nieoczywisty sposób. Pamiętam, jak na początku lat osiemdziesiątych, przed moim ligowym debiutem, jeszcze z trenerem Bronisławem Waligórą jeździliśmy na zgrupowania i był ogromny problem z zaopatrzeniem. Motor korzystał wtedy z jakichś znajomości w zakładach mięsnych i kierownik drużyny Tadeusz Kamiński, świetny jak na owe czasy organizator, załatwiał przed wyjazdem puszkę szynki konserwowej, żeby na miejscu nie było kłopotu, bo różne wtedy bywało.

Na zgrupowaniach, na boisku rodziły się przyjaźnie?

Wydaje mi się, że zawsze w tego rodzaju zespołach szuka się przyjaźni wśród osób, w podobnym wieku, z którymi dzielisz wspólne tematy. Mieliśmy wtedy fajną grupę młodych ludzi (Jarek Góra, Staszek Karwat, Grzesiek Komor, Romek Żuchnik), w której łączyła nas przyjaźń nie tylko na boisku, ale też poza nim. Wspieraliśmy się mimo tego, że czasem konkurowaliśmy ze sobą o miejsce w składzie. Rozumieliśmy, że czasem ktoś musi usiąść na ławce, żeby ktoś inny mógł grać. Oczywiście ta konkurencja była dla nas budująca, ale przy tym byliśmy na tyle lojalni wobec siebie, że nigdy nie występowaliśmy przeciwko sobie. Stąd nawet gdy już później graliśmy w innych klubach to mieliśmy ze sobą bardzo pozytywny kontakt.

Czy w pamięci zapisało się jakieś szczególne spotkanie z tamtych czasów?

Zawsze będę wspominał mecz z walczącym o mistrzostwo Widzewem Łódź w sezonie 1984/1985. To była przedostatnia kolejka ligowa. Zremisowaliśmy 1:1 po bramce Adriana Szczepańskiego w samej końcówce spotkania. Mecz zgromadził na trybunach ogromną liczbę widzów. Trenerem Widzewa był wtedy Bronisław Waligóra. W składzie łodzian był m.in. Włodzimierz Smolarek, Dariusz Dziekanowski, Roman Wójcicki, Henryk Bolesta. Można powiedzieć, co zawodnik to historia. Temu Widzewowi postawiliśmy się naprawdę mocno. Trzeba powiedzieć, że publiczność w Lublinie zawsze potrafiła docenić, gdy zespół walczył, wykazywał się ambicją.

Nawet kiedy mecz był przegrany, ale widać było zaangażowanie nikt nie miał pretensji, nie było gwizdów. Po tym meczu euforia była taka jakbyśmy przynajmniej wygrali. Gdy schodziliśmy z boiska ludzie nie opuszczali trybun. Po upływie pół godziny pod budynkiem klubowym czekało jeszcze około 3 000 widzów. Każdy kto wychodził dostawał brawa. Nie był to jak nadzwyczajny tryumf, ale serce rosnęło. To był taki mecz, który zapamiętałem, tym bardziej, że akurat w nim byłem jednym z lepszych zawodników.

Pamiętam, że w tamtym czasie redakcja „Kuriera Lubelskiego” prowadziła swój ranking oceniając pierwszoligowe występy piłkarzy Motoru, w którym panie Tomaszu plasował się pan bardzo wysoko.

Jedną z edycji wygrałem, w jednej byłem drugi. Biorąc pod uwagę, że była to suma ocen z całego sezonu, to chyba nie było najgorzej. Właściwie mogę powiedzieć, że w Motorze mój czas w pierwszej lidze zaczął się, gdy odszedł trener Ćmikiewicz a przyszedł trener Jan Złomańczuk. U trenera Ćmikiewicza byłem zawodnikiem wchodzącym. Trochę nieopacznie jak myślę przyczyniłem się do jego zwolnienia. Graliśmy mecz w Sosnowcu, ja wyszedłem w pierwszym składzie i gdzieś około 30 minut popeliłem błąd, jakiego nigdy wcześniej, ani nigdy później nie zrobiłem. Zagrałem piłkę ręką w polu karnym. To był odruch. Zdarzyło się coś, co się nie powinno zdarzyć. Konsekwencją tego był rzut karny wykorzystany przez rywala. Ostatecznie przegraliśmy ten mecz 0:3. Trener Lesław Ćmikiewicz został zwolniony. Były dwa tygodnie przerwy w rozgrywkach. Przyszedł trener Złomańczuk, który od razu na mnie postawił co nie było takie oczywiste. Pierwszy mecz pod jego wodzą wygraliśmy 2:0 z Pogonią Szczecin. W zasadzie od tego momentu zaczął się ten mój dobry czas. Zwykle wychodziłem w pierwszej „jedenastce” Motoru. Dziś oceniając ten swój czas w Motorze Lublin mogę uznać bez żadnej fałszywej skromności, że byłem dobrym zawodnikiem. Może nie jakimś wybitnym wielkim graczem, ale takim, który spełniał te wszelkie standardy i wymagania ówczesnej pierwszej ligi. 77 meczów w pierwszej lidze w lubelskich barwach rozegrałem nim skończyłem 22 lata.

77 meczy i jedna bramka. Pamięta pan jak padła?

To był mecz z Widzewem w Łodzi na otwarcie sezonu 1985/1986. Przegrywaliśmy 0:1 w końcówce spotkania. Wyrzut z autu, ktoś piłkę przebija głową, ja po odbiciu piłki z takiego półwoleja trafiam w samo okienko bramki. Sam byłem zaskoczony, że jestem w stanie taką bramkę zdobyć. Henryk Bolesta w bramce Widzewa nie miał nic do powiedzenia. Byłem wtedy zawodnikiem spełniającym zadania defensywne. Według dzisiejszych standardów byłem taką „szóstką” czyli defensywnym pomocnikiem, czasem takim wahadłowym, czyli ówczesnym prawym pomocnikiem. Natomiast też uczciwie muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o takie właśnie umiejętności piłkarskie jak zdobywanie bramek, strzały z dalszej odległości czy umiejętność znalezienia się w polu karnym przeciwnika, to na tamte czasy to nie

była moja mocna strona. Z wiekiem, nabywając doświadczenia, ale też grając bardziej ofensywnie tych bramek zdobywałem więcej.

Tamta lata to również czas gry w młodzieżowej reprezentacji Polski...

Dzięki temu, że byłem w kadrze Motoru, pokazałem się trochę w pierwszej lidze byłem powoływany do reprezentacji U18 i rozegrałem w niej 11 spotkań. Dostałem szansę i dzięki temu uczestniczyłem m.in. w Turnieju Czterech Narodów w Norwegii, gdzie graliśmy z Danią, Norwegią i Anglią. Byłem też w Korei Północnej na Turnieju Przyjaźni krajów tzw. demokracji ludowej, z którego wróciłem tak odwodniony, że półtora miesiąca dochodziłem do normalnej formy fizycznej. To był ciekawy zespół, z którego część zawodników jak Jacek Ziober, Andrzej Rudy, Jarosław Bako czy Jarosław Araszkievicz zostawiła po sobie ślad w polskiej piłce.

Przyszedł taki moment, że zdecydował się pan na odejście z Motoru do Stalowej Woli.

To nie była łatwa decyzja, ale z drugiej strony ówczesny sposób traktowania wychowanków Motoru przez władze klubu nie zachęcał do tego, by tutaj zostać. Byliśmy wykorzystywani pod każdym względem, ale przede wszystkim pod względem finansowym, stąd, kiedy pojawiła się konkretna i dobra oferta ze Stalowej Woli, zdecydowałem, że zmienię klub. Poszedłem do zespołu, który po raz pierwszy wywalczył awans do ówczesnej pierwszej ligi i trafiłem na bardzo dobrego fachowca trenera Władysława Szaryńskiego, który przykładął dużą wagę do techniki, do gry ofensywnej. Graliśmy naprawdę dobrą piłkę, ale oczekiwania były tak wielkie, że w przerwie zimowej działacze nie wytrzymali ciśnienia i zdecydowali zmienić trenera. Zatrudnili Grzegorza Polakowa, który był zamordystą i wychodziła z założenia, że liczy się tylko przygotowanie fizyczne. Stal spadła z ligi a ja miałem ofertę z Łódzkiego Klubu Sportowego. Tego roku w Łodzi u trenera Leszka Jezierskiego, choć miał pewne pozytywne aspekty sportowe, nie wspominał niestety dobrze, ze wzg. na to, że spotkała mnie wtedy tragedia życiowa – zmarło nasze dwutygodniowe dziecko. Miałem 24 lata i musiałem się mierzyć z ogromną traumą. Wróciłem do Stalowej Woli, gdzie grałem jeszcze przez trzy sezony, świętując w 1987 r. awans do pierwszej ligi. Patrząc na to dzisiaj z punktu widzenia

sportowego może w tej polskiej pierwszej lidze mogłem osiągnąć więcej. Z drugiej strony mogłem też nie trafić w Motorze na przychylność trenera Złomańczuka, który zaczął mnie regularnie wystawiać do składu. Choćby był jakiś mały niedosyt trzeba cieszyć się z tego, co się mimo wszystko w życiu osiągnęło, a nie rozpamiętywać i gdybać, bo wiadomo, że pewnych rzeczy nie odwrócimy.

Kolej etap to wyjazd do Francji...

Do Francji trafiłem za sprawą kolegi z Motoru Staszka Karwata, który grał wtedy w drugoligowym La Roche VF. Klub był wstępnie zainteresowany moją osobą, więc pojechałem tam na ciężki obóz, w trakcie którego rozegraliśmy chyba cztery mecze sparingowe. Uznano, że się przydam. Działacze pojechali do Stalowej Woli, załatwili wszystkie formalności transferowe i przez dwa lata grałem we Francji. Tak jak powiedziałem to był klub drugoligowy, niespecjalnie zamożny, ale wówczas Francja nawet na tym poziomie rozgrywek miała w porównaniu z Polską dużo lepszą infrastrukturę treningową. To wszystko było bardziej profesjonalne. Poznałem inną kulturę, inne obyczaje, inne podejście do piłki, do sportu. Natomiast mój pech polegał na tym, że sezon 1992/1993, w którym się tam zjawiłem był czasem reorganizacji II ligi francuskiej. Z dwóch grup liczących po 18 zespołów miała zostać tylko jedna, więc by się utrzymać w lidze należało zająć minimum 8 miejsce. Niestety nie udało się. Kolejny sezon spędziliśmy w III lidze francuskiej. Zimą z 1993 na 1994 złapałem kontuzję mięśniową i miałem problem z powrotem do formy. Do regularnej gry wróciłem w marcu, ale wtedy klub już miał problemy finansowe i postanowił odmłodzić skład stawiając na rodzimych zawodników. Stałem przed dylematem, co robić dalej. Miałem propozycję pozostania we Francji, ale w klubie z niższej klasy rozgrywkowej w roli grającego trenera. Byłem też namawiany by wrócić do Polski, do Motoru. Skorzystałem z tej drugiej opcji. Oczywiście trafiłem do Motoru, w którym kulały sprawy organizacyjno-finansowe, ale mimo wszystko cieszyłem się, że wracam do klubu, w którym się wychowałem i któremu mogę pomóc w rozgrywkach II ligi. To był ciekawy zespół prowadzony przez Romana Dębińskiego, któremu niewiele brakowało by włączyć się w walkę o awans. Kolejny sezon 1995/1996 to już był czas, kiedy w klubie działo się źle, by pozyskać

pieniądze na bieżące funkcjonowanie pozbywano się kolejnych zawodników. Skończyło się to degradacją do III ligi. W kolejnych latach pograłem jeszcze trochę w Avii Świdnik w II lidze oraz Lubliniance. To nie był już ten wielki sport, ale chciałem zrobić coś dobrego dla takiego zasłużonego klubu jak Lublinianka. Myślę, że bez wielkiego wsparcia sponsorów troszkę się to udało, bo ludzie zaczęli przychodzić na Wieniawę. Niewiele zabrakło, by awansować do II ligi. Byliśmy liderem, ale przegraliśmy mecz w Myślenicach, który zdecydował o tym, że jednak awansowała Siarka Tarnobrzeg. Chciałem wtedy powiedzieć stop, ale kiedy przestałem trenować zacząłem się źle czuć. Stąd też na decyzja o tym, żeby może nie wracać do wielkiej piłki, ale do takiej, która jeszcze pozwoli. na łagodniejsze przejście do tak zwanego stanu spoczynku. Stąd się wzięła Chełmianka. Awans do IV ligi z Chełmianką, w którym miałem jakiś swój udział był już dla mnie rekreacją, ale z drugiej strony miałem okazję dzielić się młodymi zawodnikami swoim doświadczeniem, wiedzą i umiejętnościami.

Powróćmy na chwilę do czasów, gdy powrócił pan do Motoru. Nie sposób nie wspomnieć meczu z Realem Madryt.

Miałem wtedy 30 lat, ale dla mnie to był mecz, jakiego w zasadzie nie przeżyłem w swojej karierze. Wszystko było związane z transferem Rafała Szweda do szwajcarskiego klubu, który załatwiał nieżyjący już menadżer Władysław Kozubał. Nasz pobyt w Szwajcarii w miejscu, gdzie Real Madryt zaczynał przedsezonowe zgrupowanie był elementem tego transferu. Dla nas to była możliwość gry z najlepszymi piłkarzami świata, odnalezienia się w tej sytuacji i sprofilowania naszych umiejętności na ich tle. Oczywiście wynik nie jest tajemnicą, skończyło się 0:7, co żadnej chluby nam nie przynosi. Śmiejem jednak twierdzić, że wówczas większość klubów polskiej ekstraklasy nie osiągnęłoby lepszego wyniku. Wbrew temu co sugeruje rezultat to nie był jednostronny mecz. Nie było tak, że staliśmy na swojej połowie a Real atakował. Próbowaliśmy się odgryzać, oddaliśmy kilka strzałów. Na początku meczu, przy stanie 0:1 austriacki arbiter Kurt Röthlisberger nie podyktował dla nas rzutu karnego za faul na Krzysztofie Klempce. Sędzia puścił grę, dziś w epoce VAR byłaby weryfikacja. Oczywiście trzeba uwzględnić, że Real był w początkowej fazie przygotowań. Na boisku jednak



FOTO: Z archiwum Centrum Historii Sportu w Lublinie.

*Drużyna Motoru przed meczem z Realem Madryt - 1995 rok.
Trzeci od lewej stoi Tomasz Jasina.*

się nie patyczkowali, czego efektem kontuzja Dominika Malesy, który po starciu z Fernando Hierro musiał przez pół roku odpoczywać. Został potraktowany naprawdę dość brutalnie. Przy dzisiejszych standardach Hiszpan wyleciałby z czerwoną kartką z boiska, natomiast grał dalej. Podsumowując, to było miłe, sympatyczne przeżycie, natomiast później trzeba było wracać do tej ligowej rzeczywistości, która niestety brutalnie nas zweryfikowała. Na początku sezonu nie mieliśmy pełnej 20-osobowej kadry, ale mieliśmy pierwszą jedenastkę. Natomiast gdy zaczęło się wyprzedawanie zawodników efekt nie mógł być inny. Pewnych spraw w sporcie się nie oszuka.

W jaki sposób po zakończeniu kariery piłkarskiej trafił pan do telewizji?

Jeszcze kiedy grałem w Lubliniance byłem zaproszony do programu sportowe w TVP3 Lublin. Po wywiadzie, którego udzieliłem dostałem propozycję współpracy. Studiowałem wtedy dziennikarstwo, więc była to dla mnie możliwość połączenia teorii z praktyką, z której skwapliwie skorzystałem. Pod koniec 1999 r. rozpocząłem od współpracy z programem „Teledzień”, gdzie zajmowałem się sportem i tak powolutku wchodziłem w tryby tej telewizyjnej maszyny. Robiłem

też różne inne rzeczy, nie tylko związane ze sportem, ale wiedziałem, że to sport interesuje mnie najbardziej. Z czasem w TVP 3 Lublin zostałem koordynatorem redakcji sportowej i miałem swój udział w programach, które tutaj powstawały. W międzyczasie w roku 2002 redakcja sportowa TVP2 zorganizowała casting na dziennikarzy sportowych. Zgłosiłem się, pojechałem na rozmowę. Usłyszałem: zobaczymy zastanowimy się, zadzwonimy, jeśli się zdecydujemy zaprosimy pana na cykl szkoleń. Jak wiemy, często bywa tak, że nikt nie oddzwania, ale w tym wypadku telefon zadzwonił. Niespodziewanie słyszę „Słuchaj jest mecz pucharu UEFA Interu Mediolan z Valencją. Będziesz go współkomentował z Dariuszem Szpakowskim.” Myślę sobie – oho, nie dość, że żadnych szkoleń nie było, to jeszcze od razu, na dzień dobry ze „Szpakiem”. I tak się stało. Oczywiście gdybym dzisiaj posłuchał transmisji z tego meczu, to pewnie bym się z tego wszystkiego trochę pośmiał, natomiast wrażenie było chyba w miarę pozytywne, bo pół rok później jechałem komentować mecz eliminacji Mistrzostw Europy San Marino – Polska. Gdzieś w tle tej decyzji były przepychanki telewizji z Dariuszem Szpakowskim, który miał



FOTO: Z archiwum Tomasza Jasiny.

podpaść podczas mistrzostw świata w 2002 mówiąc, że w meczu z Koreą Płd. nie pomogła nam nawet obecność prezydenta. Nie wnikam, bo nie znam wszystkich szczegółów. W każdym razie ktoś musiał pojechać do San Marino i padło na mnie. Później dołączył do mnie Janusz Basałaj, bo szybko zaczęła się nagonka dziennikarzy, którzy zaczęli się zastanawiać, jak to jest, że debiutant ma komentować mecz reprezentacji. Po latach mogę powiedzieć, że nie do końca byłem wtedy przygotowany na to, żeby komentować mecz reprezentacji, bo takie mecze to jest też większa krytyka, to są odbiorcy, którzy analizują wszystko. Natomiast ja byłem nowicjuszem i pewnie z jednej strony miałem praktykę piłkarską i entuzjazm, z drugiej jeszcze warsztatowo wiele braków. Dlatego też wcale się nie dziwię, że gdzieś tam jakieś słowa krytyki się pojawiały, chociaż część była złośliwa. No, ale powiedzmy, że przez to trzeba przejść.

Później przyszły kolejne wyzwania...

Cztery razy byłem jak komentator na piłkarskich mistrzostwach świata, byłem na piłkarskich mistrzostwach Europy w 2012 r. na Ukrainie, Letnich Igrzyskach Olimpijskich w 2008 r. w Pekinie. Komentowałem mecze Ligi Mistrzów, Pucharu UEFA, eliminacyjne spotkania reprezentacji Polski do mistrzostw świata i mistrzostw Europy. Trochę się więc tego wszystkiego nazbierało.

Zaczynając pracę komentatora sportowego starał się pan na kims wzorować?

Przede wszystkim chciałem, żeby mój komentarz uwzględniał i wiedzę o poszczególnych zawodnikach i tak zwane czytanie gry, bo w tym czułem się mocny. Natomiast kwestie związane

choćby z emisją głosu, z wyrażaniem emocji, to była dla mnie trudna sprawa, ponieważ tego wszystkiego dopiero zacząłem się uczyć. Zarzucano, że nie potrafię się emocjonować, ale czasem mierzyłem się takimi meczami, które były nudne same w sobie i nadmierna ekscytacja byłaby fałszywa. Nie byłem w stanie wnieść się na taki poziom emocji, bym krzyczał przez 10 sekund, że ktoś strzelił gola. Niektórzy robią to sztucznie, niektórzy naturalnie i chwala im za to. Natomiast pamiętam takie spotkania, chociażby na mistrzostwach świata w RPA w 2010 r. które same niosły komentatora i nie trzeba było wielu słów, by wyrazić to co dzieje się na boisku. Starałem się uczyć. Jeżeli chodzi o j. polski zacząłem współpracować z Jerzym Chromikiem, dziennikarzem, który był obiektywnym recenzentem moich komentarzy. Dzięki niemu mój warsztat komentatora sportowego w warstwie językowej bardzo się poprawił. Wcześniej nie miałem kogoś takiego, kto zamiast schlebiać powiedziałby – to robisz dobrze, a tu masz jeszcze braki. Koledzy z pracy często unikają takiej oceny, żeby się nie narazić. Janusz Basałaj, który krótko był szefem redakcji sportowej w TVP był takim przełożonym, który potrafił powiedzieć „Tomek, dobrze ci poszło” albo „Tomek, kompletnie zawaliłeś. Co się z tobą stało?” Pamiętam komentowałem w Mińsku mecz reprezentacji młodzieżowej z Białorusią w eliminacjach mistrzostw Europy U21. Byłem po całonocnej podróży pociągiem, na granicy potraktowali nas jak szpiegów, odległość od stanowiska do boiska była duża, w związku z czym przytrafiły się błędy. Usłyszałem wtedy od niego „Za trzy dni jest rewanż, chcesz się zrehabilitować?”. Pojechałem na ten mecz do Wronek

i jego odbiór był już zupełnie inny. Podobnie było z Włodkiem Szaranowiczem, który przy swoim przebogatym warsztacie nawet nie wdając się w jakieś szczegółowe analizy i oceny potrafił zwrócić uwagę, ukierunkować.

W pracy komentatora na pewno bardzo pomaga doświadczenie, które wyniósł pan z piłkarskiego boiska, ale zdarzyło się panu komentować także inne dyscypliny sportu...

Dość często komentowałem piłkę ręczną, ale też łyżwiectwo i jeździectwo. By przygotować się do relacjonowania zawodów łyżwiarskich na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie, rok wcześniej pojechałem na mistrzostwa świata w Lipsku. Chcąc od podstaw poznać nową dla mnie dyscyplinę rozmawiałem z zawodnikami, z trenerami, z działaczami. Na samych Igrzyskach miałem obok siebie fachowca, ówczesnego prezesa Polskiego Związku Łyżwiarskiego. Podobnie było z jeździectwem. Każda dyscyplina ma swoją specyfikę, którą trzeba poznać rozmawiając z ludźmi. Doświadczyłem od nich wiele życzliwości, bo nie udawałem eksperta, tylko przychodziłem i mówiłem „słuchajcie ja się chcę od was czegoś nauczyć, chcę żebyście mi trochę o tej dyscyplinie opowiedzieli.” Paradoksalnie to są dużo łatwiejsze dyscypliny do komentowania niż na przykład piłka nożna. One wymagają przygotowania, natomiast w tej warstwie językowej nie wymagają aż takiego zasobu słów i takiej emocjonalności.

Komentując zawodu w każdej z konkurencji można zbudować na nastrój, wykreować emocje. Zapewne znacznie łatwiej, gdy są to zawody z udziałem naszych reprezentantów?

Oczywiście, kiedy przychodziło mi komentować starty Polaków siłą rzeczy ta ekscytacja rosła. Dotyczyło to występów Polaków na Igrzyskach Olimpijskich, ale przede wszystkim meczów piłkarskiej reprezentacji Polski. W sposób szczególny zapamiętałem dwa takie spotkania za czasów trenera Pawła Janasa, zwycięstwo 3:1 z Austrią w Wiedniu i wygraną 3:0 z Irlandią Płn. w Belfaście. Mecze reprezentacji to coś wyjątkowego, ale jako wyjątkowe zapamiętałem też niektóre mecze komentowane podczas mistrzostw świata. Podczas finałów w Brazylii w 2014 r. komentowałem razem z Kamilem Kosowskim spotkanie Niemcy – Ghana zakończone remisem 2:2. Po jego zakończeniu powiedziałem „Kamil, mógłbym jeszcze spokojnie pociągnąć tak z godzinę”.

Był tego samego zdania. To był mecz, który nas wciągnął, nie czuliśmy zmęczenia a niedosyt, bo działo się w nim tak wiele, że wręcz nie chciało się stamtąd wychodzić.

Domyślam się, że patrząc z perspektywy czasu nie zmieniłyby pan swych zawodowych wyborów...

Przychodzi czasem taki moment, że się zastanawiamy, czy praca daje nam satysfakcję, przyjemność czy pieniądze. Jedni mówią wtedy „pracuję dla pieniędzy, ale jak bym mógł, to bym pracę zmienił”, inni są usatysfakcjonowani pracą, ale zarabiają mało. W moim przypadku praca łączy się w zdecydowany sposób z pasją, która towarzyszy mi od najmłodszych lat, czyli sportem. Z pieniędzmi bywa różnie, raz zarabia się więcej, innym razem mniej. Przede wszystkim jednak to praca, którą najwyżej w świecie lubię i która daje mi dużo satysfakcji. Nie robię niczego z przymusu czy z obowiązku.

Dziękuję za rozmowę

Ja również dziękuję.



Tomasz Jasina

Ur. 19 maja 1965 r. w Lublinie, piłkarz, dziennikarz telewizyjny, komentator sportowy. Absolwent Wyższej Szkoły Dziennikarskiej im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie. W czasie kariery piłkarskiej zawodnik: Motoru Lublin, Stali Stalowa Wola, ŁKS Łódź, La Roche VF, Avii Świdnik, Lublinianki, Chelminianki. Młodzieżowy reprezentant Polski U18. Od 1999 r. dziennikarz TVP Lublin i TVP Sport. Komentował mecze reprezentacji Polski w piłce nożnej, mecze Ligi Mistrzów, Pucharu UEFA, Copa America. Jak sprawozdawca uczestniczył w Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie, piłkarskich mistrzostwach świata (2006, 2010, 2014) i piłkarskich mistrzostwach Europy (2012).



Czysty blues

ADAM PRYZSTUPA

Kiedy w 1993 r. na scenie jazzowego festiwalu w szwajcarskim Montreux B.B. King ku ucieście rozkołysanej widowni zaintonował pierwsze słowa „Chains Of Love” dwunastotaktowego bluesa z repertuaru Big Joe Turnera w jego gitarze pękła struna. Przypadek, który potrafi wybić z rytmu, zdekoncentrować. Jeśli B.B. King był zaskoczony tym co się zdarzyło, nie dał tego po sobie poznać. Kontynuował śpiew, snuł opowieść o nadchodzącej rozłące jednocześnie

zmieniając strunę w instrumencie. Jakby nieświadom obecności blisko czterotysięcznej widowni wypełniającej Audytorium Strawińskiego. W przedziwnym zapamiętaniu z wzrokiem zawieszonym gdzieś nad zasłuchaną publicznością ciągnął prostą opowieść spisana przez Doca Pomusa „Jest trzecia nad ranem, księżyc świeci tak jasno. Siedzę tu i zastanawiam się, gdzie możesz być dzisiejszej nocy...” Na tę krótką chwilę był owym odrzuconym kochankiem a zasłuchana

publika nie śmiała w to wątpić. Pewnie dlatego, że jak powiadają w bluesie najważniejsza jest szczerść, jego zaś zwali królem bluesa. A potem, kiedy ponownie uzbroił swą gitarę i dotknął jej strun przymknął powieki. Jego lewa dłoń roztańczyła się na progach gryfu w charakterystyczny sposób podciągając struny, dobywając zeń rozpoznawalne vibrato.

W takich chwilach nie był królem bluesa, był czystym bluesem, czystym ciemnobłękitnym brzmieniem niosącym ze sobą radości i troski. W takich chwilach rezonował całym sobą co sprawiło, że jego żona Martha nazwała go „Ol’ Lemon Face” co miało wskazywać na reakcję podobną do tej po spożyciu cytryny. On sam z dużym dystansem do siebie mówił o tym, co towarzyszy mu podczas gry na gitarze: „Zaciskam oczy i otwieram usta, unoszę brwi, przechylam głowę i Bóg jeden wie, co jeszcze. Wyglądam, jakbym był na torturach, kiedy tak naprawdę jestem w ekstazie. Nie robię tego na pokaz. Każde włókno we mnie drży.” Podobne emocje budził u słuchaczy, podziw i zazdrość u innych muzyków.

Nagrana przezeń w 1964 r. koncertowa płyta „Live At The Regal” do dziś wymieniana jest jako jedna z większych muzycznych inspiracji przez takich tuzów gitary jak Eddie Van Halen, Eric Clapton czy Mark Knopfler. Był tym wyraźnie zaskoczony, mówił, że nie wie, co ich zaintrygowało w jego sposobie gry. Poproszony o opis tego co robi zwykł mawiać: „Kiedy śpiewam, to gram sobie w myślach, a kiedy przestaję śpiewać i zaczynam grać, to robię to tak, jakbym śpiewał”. Ową śpiewność gitary B.B. Kinga, wynikającą z wyjątkowej umiejętności frazowania, zauważali też inni. Uwielbiający go Derek Trucks z Allman Brothers Band rzekł, iż „Piękno B.B. polega na tym, że gra na gitarze jest przedłużeniem jego głosu.” Zauważając przy tym celnie, że w tym co robi nie ma goryczy, jest raczej podnoszącym na duchu ucieleśnieniem kogoś, kto przełamuje przeciwności. Pieśni zrodzone z lamentu, pieśni z głęboko niczym DNA zaszytą skargą nośnikiem nadziei. Paradoks? W przypadku B.B. Kinga nie jedyny. Styl gry, który wypracował sprawił, że dziś magazyn „Rolling Stone” plasuje go na szóstym miejscu na liście najwybitniejszych gitarzystów wszechczasów. Mimo to skromnie przyznawał, iż bardzo słabo posługuje się akordami, w powszechnym mniemaniu najprostszą technikę gry na gitarze.

Jak każdy miał swoich muzycznych idoli. Pierwszym był urodzony w Nowym Orleanie jeszcze u schyłku XIX stulecia Lonnie Johnson. W sercu małego Rileya Kinga (bo tak się naprawdę nazywał nim przyjął sceniczny pseudonim B.B. co należy czytać jako „Blues Boy”) zajmował ważniejsze miejsce niż legendarny Robert Johnson i niewidomy bluesman z Teksasu „Blind” Lemon Jefferson. Obok bluesa chłopak słuchał również jazzu, stąd zainteresowanie Charlie Christianem gitarzystą słynnej orkiestry Benny Goodmana, który jako pierwszy z jazzmanów sięgnął po gitarę elektryczną i uczynił z niej instrument solowy. W królestwie swingu odkrył nadto, za sprawą płyt przywożonych przez przyjaciela odbywającego służbę wojskową w Europie, Django Reinhardta. Tym, który przesądził o wyborze muzycznej drogi był T-Bone Walker, człowiek, który wprowadził do bluesa gitarę elektryczną.

Siłą rzeczy, instrument jakim posługiwał się T-Bone Walker - gitara Gibson ES-400 stał się przedmiotem marzeń młodego Kinga. Jak wspominał, ten pierwszy chyba od kogoś pożyczył, co w owych czasach nie było rzeczą łatwą „Kiedy zaczynałem, bardzo trudno było zdobyć dobry sprzęt. Jak już udało się dostać dobrą gitarę, nie można jej było nikomu pożyczać, gdyż groziło to ryzykiem utraty instrumentu. Wtedy tylko harmonijkę łatwo było zdobyć”. By odzyskać swoją gitarę B.B. gotowy był nawet zaryzykować życiem. To historia to część jego legendy a legendy przecież kochamy jak nic innego. Ta warta jest opowiedzenia.

Zacząć należało by od tego, że mały Raily King urodził się w 1925 r. w rodzinie dzierżawców pracujących na plantacji bawełny w Itta Bena w stanie Missisipi. W wieku siedmiu lat pracował już przy sadzeniu i zbiorze bawełny. Nie wspominał, czy przy tych czynnościach towarzyszyła mu muzyka, co dopełniałoby mit bluesmana, bo blues był nie tylko pieśnią skargi, ale przede wszystkim pieśnią pracy. Korzeniami sięga połowy XIX stulecia, kiedy to afrykańscy niewolnicy dawali upust swym uczuciom w pełnych skarg i melancholii tzw. moans, co zwykło się tłumaczyć, jako zawożenia i field hollers, czyli zawołaniach plantacyjnych. Łączył owe pieśni pochodzący z afrykańskich pieśni rolniczych format zawołania i odpowiedzi (call and response), w którym prowadzący śpiew improwizował kolejne zwrotki, zaś reszta pracujących odpowiadała

FOTO: B.B. King i Eric Clapton. Warner Records.



stałym refrenem. Ich rytm nawiązywał do rytmu zakazanego na plantacjach afrykańskiego bębna, pomagał synchronizować wspólnie wykonywane czynności. To co z nich z czasem wyewoluowało, czyli bluesa, choćby w wykonaniu Roberta Johnsona czy Lonnie Johnsona, poznawał Raily z płyt słuchanych na gramofonie w domu ciotki. Muzykę chłonał też podczas nabożeństw w kościele baptystów, gdzie udzielał się w chórze śpiewając pieśni gospel. Tamże odkrywał pierwsze akordy wybierane na gryfie gitary. Kiedy dorósł, po powrocie z wojska pracował jako traktorzysta w Inverness w stanie Missisipi. Po pracy grywał na gitarze w lokalnym zespole Famous St. John's Gospel Singers. Do czasu wpadki z niesfornym traktorem, który pozostawiony przez Kinga sam odpalił zapłon i niczym w slapstickowej komedii wbił się w pobliską stodołę. Nikomu na szczęście nic się nie stało, ale przestraszony chłopak porzucił pracę, złapał okazję i uciekł do Memphis. Tam trafił pod skrzydła kuzyna ze strony matki bluesmana Bukki White'a. Bukka grał techniką slide, był autorem kilku popularnych kompozycji („Shake „Em On Down” czy nagrane po latach przez Boba Dylana na jego debiutanckiej płycie „Fixin' To Die Blues”) i niewątpliwie wpłynął na muzyczny rozwój B.B. Kinga. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych chłopak zaczął występować w programach radiowych i nagrywać pierwsze piosenki. Co ciekawe część z nich rejestrował Sam Phillips, późniejszy odkrywca gwiazd najwyższej miary jak Elvis Presley, Roy

Orbison czy Johny Cash. B.B. King nie był wówczas uznawany nawet za wschodzącą gwiazdę i grywał do tańca w miasteczku o melodyjnej nazwie Twist, w stanie Arkansas. Właściciel sali ogrzewał ją przy pomocy swoistych grzejników – w ustawionych metalowych beczkach płonęła nafta. Traf chciał, iż w trakcie bójki, która wybuchła podczas tanecznej zabawy jedną z nich wywrócono. Nim tancbuda cała stanęła w płomieniach wszyscy łącznie z muzykami zdążyli wybiec na zewnątrz. Kiedy B.B. King zorientował się, że w środku pozostała jego gitara, wrócił do środka by ją wyratować. Tego dnia instrument zyskał imię „Lucille” - kobiety, która była przyczyną nieszczęsnej bójki. Od tej pory każda kolejna gitara bluesmana, każdy kolejny czarny Gibson E-355 będzie przezeń zwany tym imieniem.

Ten instrument towarzyszył mu odtąd na każdym koncercie a grywał ich sporo, bo blisko 250 rocznie. Swoją rekord ustanowił podobno w 1956 r., kiedy przed różnego rodzaju audytorium stawał 342 razy. Grywał wszędzie od wiejskich sal tanecznych, przez teatry, kluby, kasyna, hotele po sale koncertowe i filharmonie. Początkowo, głównie dla Afroamerykanów. W latach sześćdziesiątych odkryła go biała publika za sprawą zachwyconych jego grą takich ludzi jak Frank Sinatra, młodziutki wówczas Eric Clapton czy zespół Rolling Stones, których trasę koncertową w 1969 r. otwierał jako support. Po latach wspominał: „Nigdy przedtem nie widziałem takich tłumów, to było niesamowite. Po koncercie podeszła do mnie biała kobieta z nastoletnimi dziećmi i spytała, czy nagrałem jakieś płyty. Do tego czasu na koncie miałem ich już, chyba że trzydzieści, jednak odpowiedziałem jej, że owszem, mam kilka. Powiedziała, że jej dzieci mnie uwielbiają, i że zamierza kupić kilka moich płyt. To było bardzo miłe” Czyż to nie kolejny paradoks? Skromny ojciec chrzestny współczesnego bluesa wprowadza na scenę przyćmiewających go sławą czterech chłopaków z Anglii, wobec publiki nieświadomej z jakiego źródła czerpią ich idole. Korzyść z tej trasy była rzecz jasna obustronna. Rok później B.B. King zdobędzie nagrodę Grammy za własną interpretację piosenki Roya Hawkinsa „The Thrill Is Gone”. Niepozorny blues o rozstaniu stanie się, ku zaskoczeniu dla niego samego, znakiem rozpoznawczym



FOTO: B.B. King i Eric Clapton. Warner Records.

„Ten dreszcz już minął,
odszedł na dobre
Ten dreszcz już minął,
odszedł na dobre
Ale pewnego dnia otworzę się
na świat, jak winien to czynić
mężczyzna”

Prosty tekst, który poetycko nie porywa. Nie rozpęda się, nie lśni błyskiem metafor. Nie może, bo jak każda bluesowa strofa spętana jest w dwunastu taktach muzyki. Dwunastu taktach dzielonych na trzy czterotaktowe frazy, z których pierwsza to zaśpiew, zagajenie. Druga będąc powtórzeniem pierwszej podkreśla jej wagę. Fraza trzecia to puenta. Niełatwo w tak wąskich gatunkowych ramach uszyć coś co byłoby szczere, błyskotliwe i zaskakująco odkrywcz. Zerwać owe pęta? To zaprzeczyć tradycji a blues to również szacunek dla tych co byli przed nami. Jak kiedyś przeczytałem, oryginalność w bluesie ma więcej wspólnego ze szczerością muzycznej wypowiedzi niż poszukiwaniem dźwięków, których nikt jeszcze nie zagrał.

Ten utwór rodził się w bólach. B.B. King pracując na płycie „Completely Well” nagrał kilka

wersji, ale z żadnej nie był zadowolony, ku utrapieniu producenta Billa Szymczyka. Ów zniecierpliwiony by przeciąć rozterki muzyka wrócił do tematu o czwartej nad ranem namawiając na dogranie partii smyczków. Podstęp się powiódł – o tej godzinie, jak żartował po latach B.B. King, gotów byłby zgodzić się na wszystko. Co ciekawe, to oryginał Roya Hawkinsa kołysał się leniwie niczym ostatnia para na opustoszałym zasnutym papierosowym dymem parkiecie przed świtem. Owoc nocnej pracy w nowojorskim studiu nie sie w sobie większy ładunek energii i emocji. Kto wie, czy nie najlepszą wersję tej piosenki zagrał B.B. King w duecie z Tracy Chapman na wydaną w 1997 r. płytę „Deuces Wild”.

Ta kolekcja duetów mistrza bluesa, podobnie jak album „B. B. King & Friends: 80” (2005) i nagrana w duecie z Ericem Claptonem, obsypana nagrodami płyta „Riding with the King” (2000) to zaproszenie do zapoznania się jego twórczością. Ostatni z albumów to wręcz dosłowne zaproszenie do przejażdżki z królem podkreślone sugestywną okładką, na której siedzący za kierownicą Cadillaca Clapton wciela się w rolę szofera wożącego B.B. King i jego „Lucille”. Jak wspominał B.B. „To był jego pomysł, aby zdobyć samochód. Początkowo nie było mowy o jeździe, mieliśmy tylko zrobić przy nim zdjęcia. Ostatecznie jego

producent zdecydował, że Eric będzie prowadził. Siedząc z tyłu winieniem śpiewać mu serenadę. Byliśmy w studiach Warner Bros. w Hollywood. Auto podczas jazdy podskoczyło na wyboju. Mam dość niewyparzoną buzię, więc powiedziałem: „Co ty do cholery myślisz, wozisz pannę Daisy?” Wtedy się roześmiał co widać na zdjęciu” To jedna z wielu anegdot ilustrujących atmosferę związaną z powstaniem tej niezwykłej płyty. Równie znacząca jest opowieść o tym, jak zrodził się jej pomysł. Oto Clapton, który z B.B. Kingiem po raz pierwszy spotkał się jeszcze w latach sześćdziesiątych, zaproszony do telewizyjnego programu Larry Kinga i zapytany o to, z kim chciałby jeszcze w życiu zagrać jednym tchem wymienił Raya Charlesa, Johna Lee Hookera i właśnie B.B. Kinga. Ów podchwycił pomysł, który jak drzemał również w skrywanych zamysłach, nieśmiałego jak się okazuje, bluesmana: „Cały czas chciałem to zrobić, ale wiesz, nie narzucam się przyjacielom. Więc nigdy bym o tym nie wspomniał. Ale chciałem to zrobić na długo przed tym, zanim usłyszałem, jak to mówi.”



Na „Riding with the King” odnajdziemy m.in. pierwszy przebój B.B. Kinga, przeszło siedmiominutowy wolno snujący się „Three O’Clock Blues” z repertuaru Lowella Fulsona, ale też smakowitą akustyczną wersję klasycznej pieśni drogi „Key To The High Way” Big Billa Broonzy’ego. Płytę wieńczy napisana w 1946 r na potrzeby musicalu „St. Louis Woman” piosenka „Come Rain Or Come Shine”. Niegdyś wykonywana m.in. przez Franka Sinatrę, ulubionego wokalistę B.B. Kinga. Ubrano ją w szaty pełnego optymizmu bluesa, ale czyż nie mówiliśmy, że piosenki króla bluesa miast goryczą często przepełnione są nadzieją?

„Dni mogą być pochmurne
lub słoneczne

My przy forsie bądź bez niej
Ale zawsze jestem z Tobą
Jestem z Tobą bez względu
na pogodę”

Jeśli chcecie jej więcej posłuchajcie choćby „If You Love Me” w duecie z Van Morrisonem czy „Please Send Me Someone To Love” wyśpiewane z Mickiem Hucknallem. Na płycie nagranej z okazji swych osiemdziesiątych urodzin z innym słynnym bluesmanem Bobby Blandem zaśpiewał utwór autorstwa innego seniora Willie Nelsona „Funny How Time Slips Away”. Pogodną piosenkę pełną zadziwienia nad niebłaganym upływem czasu. Jego czas zdawał się nie iść. Każdego roku ruszał w trasę. „Tak, mogłem przejść na emeryturę w wieku 65 lat” mawiał „i od tego czasu mógłbym żyć wygodnie, ale nie o to chodzi”. Swą motywację wyjaśniał w najprostszym z możliwych sposobów „Uwielbiam grać i lubię otaczać się muzyką.” Po raz ostatni wystąpił na scenie 3 października 2014 na koncercie w House of Blues w Chicago. Miał

89 lat a cukrzyca mocno dawała mu się we znaki. Był wyczerpany i odwodniony, co spowodowało przerwanie trasy koncertowej. Jedną z ostatnich piosenek jaką wtedy wykonał była „Every Day I Have the Blues”, standard z lat trzydziestych, który kończy się słowami

„Spakuję moją walizkę
i ruszę w drogę
O tak, spakuję moją walizkę
i pójdę dalej
Tam, gdzie nie ma trosk
i nikt nie płacze”

B. B. King zmarł w las Vegas 15 marca 2015r. Dzieciak pracujący przy zbiorze bawełny, który podążał za swoim marzeniem. „Granie bluesa jest tym, co robię najlepiej. Jeśli Frank Sinatra może być najlepszy na swoim polu, Nat „King” Cole na swoim, Bach i Beethoven na swoich, dlaczego nie miałbym być wielki i znany z tego co gram, z bluesa” zwierzył się kiedyś dziennikarzom. Zda się, że mu się udało.

FOTO: „Lucille”, gitara B.B. Kinga.



FOTO: Beata Groen.

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA BEATA GROEN

Jesienne warzywa

Ryż z papryką

Ryż do risotto obsmażamy na oleju, zalewamy bulionem warzywnym i gotujemy. Papryki: czerwoną, żółtą i zieloną kroimy w drobną kosteczkę, delikatnie solimy i krótko obsmażamy na oliwie z oliwek. Mieszamy z ryżem.

Kulki

Gotujemy czarną soczewicę i czarny jaśminowy ryż do miękkości. Soczewicę blendujemy dodajemy ryż, doprawiamy solą, ostrą papryką, czosnkiem, kuminem rzymskim i czarnuszką. Formujemy małe kuleczki lub placuszki pieczemy na papierze w wysokiej temperaturze. Nie powinny być wysuszone!

Warzywa

Marchewkę kroimy w plasterki, kalarepkę w paski. Wykładamy do naczynia żaroodpornego, polewamy niewielką ilością bulionu i oliwą z oliwek. Pieczemy w piekarniku w temp. w ok 150 stopni. Kroimy kolorowe papryki w paski, cukinię w plasterki i czerwoną cebulę w piórka, dodajemy posiekany czosnek. Przyprawiany solą, pieprzem cytrynowym, lubczykiem, oregano można dodać ostrej papryki. Warzywa wykładamy do marchewki. Jeśli trzeba polewamy odrobiną bulionu i oliwą. Pieczemy ponownie nie dłużej niż 10 -15 min. Na koniec dodajemy solidną porcję natki pietruszki. Warzywa powinny być chrupiące! **Smacznego!**

FOTOREPORTAŻ



FOTO: Redakcja. Wizyta Mateusza Cierniaka, zawodnika Motoru Lublin, w siedzibie Kom-Eko przy ul. Metalurgicznej 9B.